

Prenumerata: W Warszawie
rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3
kop. 50, kwartalnie rb. 1 kop.
75, miesięcznie kop. 60;
numer pojedynczy kop. 15.
Z przesyłką pocztową rocznie
rb. 9, półrocznie rb. 4 kop. 50,
kwartalnie rb. 2 kop. 25;
numer pojedynczy kop. 20.

Za zmianę adresu płaci się
20 kop.

Agentury:
w Łodzi księgarnia R. Schat-
kego, w Petersburgu księgar-
nia K. Grendyszyńskiego.

Głos

Tygodnik Naukowo-Literacki,
Społeczny i Polityczny

Adres: Warszawa, Złota 26.

Ogłoszenia po kop. 10 za
wiersz petitu; Nadesłane na
1-ej stronie przed tekstem
po rb. 1 za wiersz petitu.

Administracja otwarta od 10
do 2 i od 4—6 prócz świąt.

W interesach redakcyjnych
porozumiewać się można
od 5—6.

Rękopisów drobnych redak-
cja nie zwraca

Głos wychodzi co Sobota.
Pod kierunkiem literackim
J. WŁ. DAWIDA.

TREŚĆ NUMERU:

Prawem sukcesji, p. St. Koszutkiego. — Duch mój niegdyś, p. M. Ko-
mornicką. — Rozwój socjologii od Comte'a do naszych czasów, p. J.
Steckiego. — Z ruchu naukowego, p. J. Zachorskiego. — Jak mieszka
uboga ludność m. Warszawy? p. L. W-wa. — Głosy: Prawa a obowiąz-
ki chorych szpitalnych Portrety Sienkiewicza. Poezja na scenie. —
Błędy językowe. — Z obcego świata: Przegląd polityczny. J. Bloch
o wojnie transwaalskiej — Kronika naukowa, literacka i artystyczna. —
Z różnych stron: Mińsk gub., Lublin; z zagranicy: Kraków. — Kronika
powszechna. — W odcinku Degule (szkieł z natury), p. N. E. Iwanow-
skiego. — Ogłoszenia.

PRAWEM SUKCESJI.

...Wracam z Grenady,
Ja wam zaraz przyniosłem,
Pocałowaniem wszczepiłem w duszę
Jad, co was będzie pożerać...
(„Alpuhara” A. Mickiewicz).

W chwili, kiedy na terenie afrykańskim odbywają się
rzeczy, o których się „filozofom” nie śniło, gdy niedobitki
przeżytej „rasy” holenderskiej tryumfują nad będącą w roz-
kwiecie sił żywotnych „rasą” anglo-saską, warto rzucić okiem
na inny teren, gdzie owa „żywotna rasa” w pełni zwycię-
skiego upojenia przechodzi okres głębokiej transformacji
wewnętrznej.

Mówimy o Stanach Zjednoczonych Ameryki Północ-
nej, o tym cywilizowanym „barbarzyńcy” nowożytnego świa-
ta, bezlitosnym Attyli, co zuchwałą, żelazną ręką nie uląkł
się targnąć na „wiekową” o świetnych tradycjach kulturę,
powalić dumny niegdyś ze swej potęgi bastjon, arcykapła-
nowi odwiecznej przemocy, stosowanej w imię najświętszych
ideałów Inkwizycji, wzniosłych zasad następców Loyoli,
ideowej spuścizny nieśmiertelnych bohaterstw Korteż’ów
i Pizarrów — wymierzyć świętokradzki policzek i zerwać mu
z nad skroni ostatnie krwawe liście zdobytych niegdyś wa-
wrzynów. Powalony wróg — bezsilny — szarpie się i mo-
cuje z własnym niedołęstwem i bezwładnością, która mu
nawet ran przewiązać nie pozwala. Oplakane skutki fatal-
nej gospodarki przed wojną, następstwa strasznej operacji
chirurgicznej, jaką — w formie utraty wszystkich kolonii —
przyniosła Hiszpani wojna, ciężary i długi wojenne, rów-
nież fatalna gospodarka rządu po wojnie, uciskająca wszyst-
kie warstwy społeczne olbrzymimi podatkami, ściąganiem
znow dla celów militarnych, opór ludności, odmawiającej

ponoszenia dalszych ciężarów, wzrost nędzy i płynące stąd
groźniejsze stanowisko żywiołów rozpaczy, wicherzenia kar-
listów i religionistów (skrajna reakcja monarchiczno-kato-
licka), zaostrzenie separatyzmów prowincjonalnych w Ka-
talonji, Biskaii chroniczne bunty i zaburzenia lokalne dla
byle powodu, absolutna niezaradność rządu, — oto obraz te-
go prawdziwie rozpaczliwego położenia, w jakim ojczy-
zna Filipa II znalazła się na przełomie dwóch stuleci.

A zwycięzca?...

Zwycięzca, nie mogąc się doczekać zamknięcia rachun-
ków filipińskich, oblicza na zimno zyski, jakie mu dały krót-
kie a owocne chwile „bezinteresownego” ujęcia się w imię
„ludzkości, braterstwa i wolności” za walczącymi o nieza-
leżność Kubańczykami. Bardzo możliwe, iż wielu, zapewne
większość obywateli Stanów Zjednoczonych uważała pier-
wotnie wojnę z Hiszpanją za walkę, podjętą w imię wyż-
szych, humanitarnych celów, ale są dowody na to, że wie-
lu z góry już znało przyszły los wyswobodzonej Kuby.
W 1897 r. w Nowym Jorku utworzono stowarzyszenie p. n.
„Liga Kubańska”, które postawiło sobie otwarcie za cel
dopomóc Kubańczykom w odzyskaniu niepodległości. Je-
den z podpisanych na liście, miljoner Astor, kładąc pióro,
odezwał się głośno: „Wcale nie życzymy sobie, żeby Ku-
ba była wolną, mamy zamiar dokonać jej aneksji...”

Odpowiedzialność, czy zaszczyt aneksji wyzwolonej
Kuby przypada całkowicie w udziale partji republi-
kańskiej.

Jest to nazwa o tyle nieścista, że partja republikań-
ska jest raczej partją imperjalistów, przedstawicieli wiel-
kiego kapitału, pragnącego szerokiej, zaborczej, imperjali-
stycznej polityki. Dziś wszystkim wiadomo, iż wojna z Hi-
szpanją była pożądana i upragniona przez kapitalizm Sta-
nów Zjednoczonych, dążący do wyrzucenia Hiszpanji z Ame-
ryki i przywłaszczenia sobie jej kolonii w celu eksploata-
cji ich niezmiernych bogactw. Pretekst humanitarny, wy-
stawiony przez rząd Waszyngtoński, był tylko aktem hy-
pokryzji. Obecnie z tego pretekstu śmieją się i politycy
i dziennikarze.

Okazało się że całą wojnę przygotowywało oddawna
grono miljonerów, którzy zgromadzili się w jednym z wię-
kszych miast dla zorganizowania pomocy finansowej i woj-
skowej dla Kubańczyków w celu podtrzymywania wojny aż
do chwili interwencji Stanów Zjednoczonych. Ponieważ
wiadomem było, że interwencji pożądaney przez miljone-
rów, nie można się było spodziewać od rządu demokratycz-
nego, postanowiono za wszelką cenę przy wyborach na pre-
zydenta przeprowadzić kandydata republikańskiego (Mac

Kinley'a). Dziś uchodzi za rzecz stwierdzoną, że kandydat demokratyczny Bryan, został prawnie i istotnie obrany prezydentem Unji w 1896 r., i że tylko dzięki kolosalnym fałszerstwom wyborczym, dokonanym w wielkich Stanach—Ohio, Indjanie i Illinois—udało się republikanom przeformować Mac Kinley'a. Wybór jego był niezbędny dla udania się projektu—zapewniono go więc sobie przez puszczenie w ruch wszystkich sztuk i „sposobów” wyborczych, w użyciu których Amerykanie celują.

Mac Kinley'a zrobiono prezydentem, wojna o wolność Kuby—została wypowiedziana. Pomimo niestłuchanej korupcji i niedołęstwa wyższej administracji wojskowej, odniesiono szereg łatwych zwycięstw, flotę hiszpańską zniszczono prawie doszczętnie, pobito Hiszpanów na lądzie, w rezultacie wyrzucono ich z Antyllów i Filipinów, wreszcie—zawarto pokój. Zrazu—po pierwszych zwycięstwach—obok flagi amerykańskiej zatykano kubańską: „za waszą wolność!”—mówiono Kubańczykom. W miarę bardziej stanowczych powodzeń, poczęto zmieniać taktykę, a po zawarciu pokoju zmieniono ją zupełnie. Od wyzwolonej Kuby zażądano bezwzględnej wdzięczności, poczęto od niej wymagać postąpienia w myśl zasady: „Uratowałeś mi życie, a więc życie moje do ciebie należy.” Gotowi do wdzięczności, ale platonicznej, ufni obietnicom, wyzwoleni zażądali wolności zupełnej. Na niewdzięczników sposób łatwy: wojska amerykańskie zostaną dłużej na wyspie, a kraj będzie rządzony militarnie, rozumie się, tymczasowo — póki się nie wydoskonali etycznie — aż do szczytów samozaparcia się i samopoświęcenia. Wraz z Kubą Amerykanom w spadku po Hiszpanji dostało się Portorico, a na wodach australskich—wyspy Marjańskie, Karolińskie i wiele pomniejszych, w Azji—powstańcy filipińscy. Przed wojną nie było może w Europie nikogo, ktoby mógł przypuścić na chwilę, że Ameryka, owa Ameryka, znana jako wcielenie i obrońca wszelkiego rodzaju swobód, sprzeniewierzy się wszystkim swoim tradycjom i ujarzmi wyzwołałą przez siebie Kubę, a z Filipińczykami będzie się rozprawiała zbrojnie.

A jednak wszystko to się stało. Stany Zjednoczone, odziedziczywszy po Hiszpanji jej kolonie, wraz z niemi otrzymały w spuściznę jej gorączkę kolonialną. Stawszy się metropolją, wstąpiły na drogę wskazaną jej przez stare państwa Europy—drogę militarystyki i polityki kolonialnej. Nie poprzestając na wielkich terenach wewnętrznych, wielki kapitał amerykański zapragnął rozpostrzeć swe skrzydła jeszcze szerzej.

Ale wojna zwycięska przyniosła nie tylko spełnienie marzeń republikańskich miljonerów; podnieciła ona masy, budząc w nich nagle zaborcze instynkty. Ten przewrót moralny w opinii publicznej, uświęcającej przewrotną, zaborczą politykę państwa, jest może najgorszym złem, jakie Stanom Zjednoczonym przyniosła wojna. Znalazłszy moralne oparcie w szowinizmie mas i rozdmuchując go wszelkimi sposobami, znanymi i Europie, stronnictwo rządowe mogło nie zważać na opozycję starych idealistów-senatorów i nie będących u władzy demokratów i pchać państwo po drodze, na której się tak nagle znalazło. Stąd owa uporczywa zacięta walka z broniącymi się Filipińczykami, przyłączenie wysp Samoańskich, projekty nabycia Antyllów duńskich, polityka Stanów Zjednoczonych w Chinach, szybka zamiana na państwo militarne, zarówno na lądzie jak na morzu.

Jednak cztery lata prezydentury Mac-Kinley'a to okres zbyt krótki dla całkowitego zrealizowania planów „imperjalistów” amerykańskich. Należy się postarać za wszelką cenę, by wybór jego został zapewniony i na następne cze-

rolecie. Dziś w całych Stanach Zjednoczonych panuje powszechne przekonanie, iż szefowie partji republikańskich gotowi są w tym celu posunąć się w razie ostatecznym nawet do zamachu stanu. Jednak demokraci, odsunięci po zeszłych wyborach od władzy drogą fałszu i podstępów, nie myślą ustąpić przy nadchodzących. Bryan objeżdża poszczególne stany i wygłasza mowy, partja „srebrna” krytykuje zawzięcie czteroletnie rządy „złotej”, idealisci starego pokroju—zaborczość, wolnohandlowcy—protekcjonizm, populiści, demokraci, socjaliści organizują walkę zaciętą z polityką wielkiego kapitału, zapowiadając przeciwstawienie sile—siły, zamachowi—oporu i buntu. Czy dojdzie do walki bratobójczej, i czy dojdzie już teraz, trudno dziś przesądzać, to widoczne, że Stany Zjednoczone weszły w okres ciężkiego przesilenia—politycznego i etycznego, które zawdzięczają całkowicie swej zwycięskiej wojnie.

Smutny jest los Hiszpanji, pobitej, zubożonej, wycieńczonej politycznie i ekonomicznie. Jedną może mieć tylko pociechę w niedoli, że się zemściła na swym zwycięzcy, że zarazki własnych chorób, własnej gorączki, która ją strawiła, raka, który ją toczył przez stulecia i stoczył do głębi, przeszczepiła w organizm swego pogromcy.

STANISŁAW POŚCZUTSKI.

DUCH MÓJ NIEGDYŚ...

Duch mój niegdyś jak ciche, szafirowe morze
Leżał pod niebem pragnień twarzą zachwyconą—
Każde tchnienie błękitów brał drżeniem w swe łono,
I chwałę słońca w niemej odbijał pokorze.

A w dniach łaski, o jasnej wieczorowej porze,
Gdy w złotym niebie chmury purpurowe płoną—
Zstępował z wysokości, błogosławiąc dzwonom,
Bóg słoneczny — w pragnieniu omdlałe przestworze.

Gasły w popiele zmierzchu zórz krwawe przepychy,
Zastygał świat jak czoło, które śmierć okala,
Szedł złoty zgiełk od roju gwiazd — i poszum zdala,

Wiatr nocny targał śpiące powojów kielichy—
Duch z Bogiem w łonie, święty spoczywał i cichy,
Jak wielka — ciemna — głucha oceanu fala.

MARJA KOMORNICKA.

ROZWÓJ SOCJOLOGJI

Zarys kierunków i teorii od Comte'a do naszych czasów.

II. Socjologja klasyfikująca. De Roberty, De Greef i Lacombe.

Ci ostatni pominęli zupełnie „prawo trzech stopni rozwoju ducha”, natomiast za punkt oparcia obrali postawioną przez Comte'a zasadę hierarchicznej klasyfikacji nauk. Widzieliśmy już, że dla Comte'a układ nauk jest równoległy z układem rzeczy. Porządkując zjawiska świata zewnętrznego według coraz mniejszej ich powszechności i coraz większej złożo-

ności, odtwarzamy jednocześnie rzeczywisty porządek i związek zjawisk; porządkując według tej samej zasady nauki, odtwarzamy następstwo ich powstawania, odtwarzamy ich dzieje. Ponieważ w umyśle jednostki istnieją i działają te same motywy logiczne, co i w całej ludzkości, więc jednostka nie tylko może, lecz musi powtarzać przebieg rozwojowy wiedzy ludzkiej, odbudowywać dzieje nauki. Klasyfikacja nauk z opisowej staje się zarazem genetyczną i odtwórczą. Jeżeli się uzna słuszność tej zasady, wystarczy dać systematyczną klasyfikację zjawisk i faktów społecznych od najbardziej ogólnych i najmniej złożonych, aż do najzawilszych i najmniej ogólnych, żeby jednocześnie otrzymać obraz powstania i wzrostu społeczeństwa.

De Roberty¹⁾ godzi się najzupełniej z powyższymi wywodami, odrzucając tylko potrzebę podziału każdej nauki na abstrakcyjną i konkretną; nauki abstrakcyjne są podstawowymi, konkretne zaś pochodnymi. Każda z nauk, wymienionych w układzie Comte'a, ma za przedmiot jakąś własność materji; socjologia bada „społeczność”, prawa jej oraz stosunek do innych własności materji. Najważniejszym przejawem społeczności jest wpływ czasów przeszłych na teraźniejszość, czyli pierwiastek historyczno-rozwojowy życia ludzkości. Obok metod, wskazanych przez Comte'a, de Roberty zaznacza potrzebę metody opisowej. Po za tem nie wdaje się w żadną analizę społeczeństwa i nie nowego do socjologii nie wprowadza, nie próbuje też własnej klasyfikacji zjawisk społecznych, okazując się mniej samodzielnym od Littré'go nawet, który—choć bezwzględny wyznawca Comte'a—zdobył się na własny podział życia społecznego (przemyśl, polityka, sztuka i wiedza oderwana).

Daleko lepszy użytek z zasady klasyfikacyjnej zrobił de Greef. Stwierdza naprzód, że klasyfikacja nauk ma znaczenie więcej, niż podmiotowe; wyraża ona istotną zależność wzajemną rzeczy. Najniezależniejszem jest to, co jest ogólnem; w miarę wzrostu szczególności, zwiększa się zależność i plastyczność, aby więc oddziaływać na sferę ogólną, należy zaczynać od szczegółowego. Otóż społeczeństwo jest rzeczą bardzo złożoną, i badanie socjologiczne powinno je przede wszystkim rozłożyć na pojedyncze czynniki i dziedziny. I Comte próbował analizy takiej, de Greef zarzuca mu jednak, że nie wziął jej za punkt wyjścia praktycznych wskazań swoich (co nie jest zresztą prawdą), że owszem kazał wciąż mieć na oku całość i od całości przechodzić do części. Nadto de Greef uznaje, iż Comte niedostatecznie uzasadnił różnicę między biologją a socjologją, czyli między organizmem zwierzęcym, a ustrojem społecznym, podnosi więc z naciskiem okoliczność, że społeczeństwo w przeciwstawieniu do organizmu fizycznego polega na wolności współdziałania, na zgodzie wzajemnej jednostek spo-

lecznych. Ta cecha zasadnicza występuje pod postacią umowy lub swobody umownej, która z biegiem dziejów coraz bardziej ruguje ze społeczeństwa wpływ przymusu i prowadzi do idealnego ustroju, opartego właśnie na umowie.

Wstępem do socjologii jest mezologia, czyli nauka o środowisku, w którym rozwija się społeczeństwo. W środowisku de Greef rozróżnia następujące momenty (od prostych i ogólnych do złożonych i szczegółowych): czynniki kosmiczne, obszar ziemi całej i całego kraju, ukształtowanie geograficzne poziome, wpływy fizyczno-chemiczne gruntu i wnętrza ziemi, ukształtowanie pionowe i układ wody, fauna i flora, wreszcie czynniki psychiczne (nie charakter rasowy np., jakby należało się spodziewać, lecz takie uczucia, jak egoizm i altruizm, które są już po części wytworami życia zbiorowego). Z kolei de Greef przechodzi do analizy samego życia społecznego i nie schodząc ze swej podstawy klasyfikacyjnej, wymienia siedem dziedzin społecznych, siedem „wielkich czynników zasadniczych budowy społecznej”: ekonomiczny, rozrodczy, artystyczny, naukowy, moralny, prawny i polityczny. Ten szereg hierarchiczny wyraża zależność wzajemną dziedzin życia; jest nie tylko podmiotowy, lecz i przedmiotowy, to znaczy iż rozwój społeczny (od przymusu ku wolności, od panowania władzy do panowania umowy), ogarnia dziedzinę niższą, postępuje z kolei ku wyższej, przyczem stopniowo słabnie. De Greef nie wykazuje wszakże, jak mianowicie dokonywa się w dziejach owo przenoszenie postępu od dołu ku górze; każdą dziedzinę życia rozpatruje z osobna, ilustrując dowodami historycznymi rozwój odrębnych urządzeń i stosunków. Forma własności, na początku despotycznie wspólna, potem rodowa, dziś jest nieograniczenie prywatna, w przyszłości zaś pozbędzie się czynników produkcji, które obejmie wytwarzanie zbiorowe; od niewolników społeczeństwa przeszły do pracy cechowej, wreszcie do najmitów wolnych. W stosunkach rodzinnych ustala władza patriarchalna ojca; w sztuce swoboda artysty wzrasta; w nauce od religji przeszliśmy przez metafizykę do wiedzy, nieczem nie krępowanej; w moralności jednostka staje się coraz bardziej autonomiczną; podobnie w polityce. „W społeczeństwie demokratycznym prawo publiczne będzie nie organizacją władz, lecz organizacją czynności”. De Greef wskazuje nadto w każdej z osobna dziedzinie życia inny jeszcze rozwój postępu: od ogółu do szczegółów i od prostoty do złożoności (np. w zakresie stosunków ekonomicznych „od wymiany” do rolnictwa i przemysłu), oraz wykazuje, że miarą postępu jest także stopień doskonałości organizacji podobnie, jak w ustrojach fizycznych. Oprócz ewolucji dokonywa się jeszcze (pomysł, zapożyczony od Spencera) wzrost skupienia czyli naprzód mechanicznego, potem i wewnętrznego składania się jednostek w pary, rodziny, pokolenia, ludy i w przyszłe związki międzynarodowe. Siedem głównych czynności społecznych znajdują w tych skupieniach narządy i wyrażają w nich swe funkcje.

¹⁾ Por. *La sociologie*—Paryż, 1886 (wyd. II).

6)

DEGULE

SKZIC Z NATURY.

Degulowa nie odezwała się więcej. Nie przywykła do mężowskiego gderania, bo małomówny zwykle, a poważny kmić do gniewu skłonnym nie był, słusznie składając zły jego humor na wyjątkowe okoliczności, drażnić go bardziej nie chciała. Maskując tedy odwrót, pokręciła się po izbie i wyszła nieznacznie.

Ale cierpka bezczynność dokuczyła w końcu Degulowi. Wstał więc, fajkę schował i za hebel już miał, gdy weszła Kotra.

Istotnie — wyglądała na chorą: jagody straciły świeżość wczorajszą, oczy zaś—ogień. Z pod chustki, niedbale na głowę narzuconej, wymykały się nieczesane włosy, odzież miała pomiętą, omdlałość zaś — w całej postaci... Wszystko czyniło ją znacznie starszą na wygląd... A trwała śnać w gniewie, gdyż ojcu, który ją o zdrowie spytał, nie odpowiedziała i słowa, kromkę chleba ze stołu wzięła

i posępna jak noc, wyszła znowu, drzwiami za sobą trzaskając.

Degulis—heblował, Degulowa — dobywszy ze skrzyni szmatę jakąś do cerowania zasiadła i długo, długo nie mówili do siebie; a zegar tymczasem, posuwał skazówki swoje dalej, coraz dalej...

— Wydać by ją!—zawołała nagle kobieta i szyc przestając, na męża spojrzała. Ot, jutro — odpust, na nim będzie i Lunas — pogadajcie!...

— Hm, hm! — dwuznacznie chrząknął Degulis.

Jutro!... Ileż ono ludziom zawodów, ile gotuje niepodzianek!

Stary kmić miał swoje powody. niedowierzać temu jutru, albo może i niewiedział dokładnie, czego ma odeń żądać... Na jedno tylko zgadzali się oboje małżonkowie stanowczo: że tak, jak jest—źle jest; chociaż nie wiedzieli: z a c o?

Na drugi dzień po odpuście i zorza zwolna rozpalila się od wschodu, wreszcie i słońeczko wstało; czeladka zebrała się na śniadanie, a Wincia jak nie było, tak nie było.. Szeptano o tem u stołu, ale rodzice — milczeli...

Gdy nakoniec obcy ludzie precz poszli, Degulis wstał i do żony przystąpił:

De Greef przeczy istnieniu cyklów w rozwoju społecznym, przyznaje zaś istnienie ruchów wstecznych, których przyczyny szukać każe w rozkładzie stosunków gospodarczych¹⁾.

Do podobnych wniosków dochodzi też P. Lacombe²⁾. Przedmiotem nauki dziejów są ludzie, oraz ich czynności, lecz nie ludzie ze strony fizycznej lub duchowej (antropologia i psychologia), i nie ludzie pojedynczy (erudycja historyczna), lecz ludzie przeciętni, właściwi danej epoce i danemu krajowi—oraz takie same ich czyny. Nie historia wszakże, lecz psychologia wyjaśnia nam przyczyny postępowania ludzkiego, są niemi mianowicie potrzeby, odczuwane przez człowieka; różnią się one stopniem swej nagłości. Lacombe rozwija dalej myśl, że najpierwszymi i najważniejszymi są te urządzenia społeczne, które odpowiadają potrzebom najbardziej nieodzownym i nagłym. Takimi są potrzeby „ekonomiczne”, przeto instytucje ekonomiczne (technika wytwarzania środków żywności, podział dóbr, spożycie i komunikacje, wreszcie urządzenia wojenne, gdyż wojna ma na celu przede wszystkim zabór cudzego mienia) są najważniejsze i najtrwalsze. Potrzeby ekonomiczne i popęd rozrodczy powołują do życia rodzinę; te same potrzeby wraz z żądzą czci, która znajduje oparcie w egoizmie, są źródłem pojęć i urządzeń moralnych, tem mocniejszych i jednородniejszych, im bardziej pierwotną jest dana grupa społeczna (tutaj zaliczone też zostały instytucje prawa). Moralność i prawo dążą do równości. Ekonomia, egoizm i sympatja rodzą podział społeczeństwa na klasy, następnie zaś i organizację polityczną. Sztuka i literatura odpowiadają potrzebom umysłu, nauka—dążności do zapanowania nad otoczeniem. Religia jest pewnego rodzaju „ekonomią wyobraźni”: przypisując ukryty pierwiastek duchowy (animizm) przedmiotom świata zewnętrznego, określamy pożyteczność ich lub szkodliwość dla człowieka. Postęp polega zdaniem Lacombe'a na działaniu wynalazczym, na wprowadzeniu nowości; punktem wyjścia jest tu zawsze jednostka, którą ogół naśladuje. W „niższych” dziedzinach życia społecznego postęp jest ściśle deterministyczny, w wyższych—zwłaszcza w nauce—ogromną rolę gra nieuchwytny przypadek i gienjalność. Celem postępu jest *maximum* szczęścia, które polega na pewnego rodzaju równowadze zdolności i uczuć. Zresztą rozwój postępowy nie jest wcale prawem powszechnem i stałym; zależy on od wielu warunków, których ściśle określić niepodobna, częstokroć też społeczeństwa cofają się wstecz. W dalekiej przyszłości Lacombe przewiduje panowanie solidarności i zasady wolnego stowarzyszania się. Porównując teorię wszystkich przedstawicieli tego kierunku socjologicznego, przyjść musimy do wniosku, iż chybiły

one celu. Klasyfikacja ich jest naprawdę opisową tylko, lecz nie genetyczną; lepiej wyjaśnia stosunki współistnienia, niż następstwa zjawisk społecznych, a więc nie odtwarza dziejów, choć właśnie to miała na celu. De Roberty ograniczył się niemal zupełnie do rozważań teoretyczno-poznawczych, do wyznaczenia socjologii miejsca w systemie nauk, Lacombe wypowieział o rozwoju ledwo trochę aforyzmów. Ale i najwybitniejszy socjolog tej szkoły De Greef nie trafił na właściwą drogę. Broniona przezeń kolejność urządzeń społecznych jest błędem. Tak np. powiada, że sztuka powstała później, niż gospodarstwo i rodzina, choć sam przyznaje, iż jest ona wyrazem popędów, które istnieją już u zwierząt. Dlaczegożby w takim razie popędy te miały przez czas długi pozostawać utajone? A dalej czyż istotnie organizacja polityczna tworzy się najpóźniej? czyż jej zawiazki, bodajby dorywcze i luźne, nie są współczesne najpierwotniejszym okresom życia społecznego? Podział, przeprowadzony w poszczególnych dziedzinach zjawisk socjologicznych, nazwać wypada niemal płodem wyobraźni: prawo handlowe np. ma być najdawniejszem, prawo karne—najświeższem. Zależność między dziedzinami ma być taka, iż wpływ niższych na wyższe jest bardzo silny, wpływ odwrotny nader słaby, i tem słabszy, im dalej w głąb sięga. Wypadałoby stąd, że oddziaływanie polityki (dziedzina najwyższa) na urządzenia ekonomiczne (najniższa) jest prawie żadne, gdy tymczasem każdemu wiadomo, że istnieje tu związek bardzo ścisły. Wszystko to pochodzi oczywiście z obrania błędnej podstawy klasyfikacyjnej, i jeżeli prawdą jest, iż zjawiska najogólniejsze w życiu społecznym były najwcześniejszymi, to cała trudność polega na wyszukaniu zjawisk najogólniejszych. Wskazówek udzielić mogą raczej badania empiryczne, niż jakiegokolwiek rozumowania dedukcyjne. U wszystkich zaś przedstawicieli socjologii klasyfikującej dedukcja przeważa nad indukcją.

JAN STECKI.



Z RUCHU NAUKOWEGO

Z rozpraw Akademii Umiejętności: O imieniu Piasta. Koronacja Chrobrego w r. 1000. Żywoty św. Wojciecha. Kronikarz Gallus. Z dziejów W. Ks. Litewskiego — Sprawa Jana Zapolyi. — Przyczyny wielkiej wojny r. 1812. — Uwięzienie Kollataja. — Źródło historyczne „Irydjona”.

W wydawnictwie Akademii krakowskiej (H.-F. serja II, t. XII) znajdujemy studjum p. t. „Przyczynki do historii Piastowiczów i Polski Piastowskiej”, pióra Wojciecha Kętrzyń-

¹⁾ Por. *Introduction à la Sociologie*—Paryż, 2 tomy, 1886—1895;

Les lois sociologiques—Paryż, 1893; *Le Transformisme social*—Paryż, 1889

²⁾ Por. *De l'histoire considérée comme science*—Paryż, 1894.

— Co ty na to? He? — spytał głucho.

— Ja? Dajcie ot, pokój, na dziś, bronowaniu, a niech by obaj parobcy poszli...

— Dokąd?

— Ty wiesz...

— Ja wiem? Przeżegnaj się, kobieto! ja nic nie wiem! — z przerażeniem prawie, zaprzeczył mąż. Wczoraj, zdawało mi się wprawdzie, ale to tylko tak... Jenó co go nie widać...

Pomilczał chwilę, podumał, lecz gdy przemówił znowu, zamiast otuchy, w głosie jego dźwięczała nuta długo hamowanej rozpacz:

— Oh, matko, nie jeden, — kopę krzyżów postawię, kościół z muruję, byle on wrócił...

Degulowa patrzyła w twarz męża z wzrastającym przerażeniem: twarz Degula mocno była błądą, usta mu drżały.

— Panno przenaświętsza! miej nas w swojej opiece! — jęknęła, wybuchając płaczem.

— Gdzie Kotra? — nagle spytał Degulis.

— Kotra? Kotra? — powtarzała przez łzy Degulowa; — to prawda: gdzie — Kotra? No, ale gdzieżby miała być? w świronku chyba. Pójdę do niej, tak, muszę pójść do niej!

Nie wiedziała jednak stroskana matka po co właściwie do córki iść musi; to też, ledwie za próg wyszła, już zapomniała o niej, ujrzawszy Tomasza leśnika, nadchodzącego właśnie.

— Sam Bóg posyła nam ciebie! — zawołała z daleka; — ty wiesz wszystko, ty słyszysz jak trawa rośnie, ty nam powiesz, gdzie on, gdzie Wincis! Tu złożyła ręce przed starcem, jak do modlitwy; zdawał się zakłopotany — milczał.

— Ty wiesz, widzę, czuję to — woła kobieta, gdy w progu chaty, ukazał się Degulis. Był ubrany — do wyjścia, to jest, w surdut i buty; na głowie miał czapkę, kij w ręku, fajkę tylko zostawił.

— Ojciec, — zwróciła się doń żona — oto Tomasz wie cościś...

Degulis popatrzył na Tomasza przenikliwie, lecz ten miał wzrok utkwiony w ziemię, kłaniał się właśnie, wymawiając powoli zwykłe: Niech będzie pochwalony!

— Na wieki! — odrzekł Degulis prędko, wzroku ze starca nie spuszczaając. Wiesz że ty co na prawdę? — spytał.

— Wie, wiel — zapewniała Degulowa.

— Ha, jeżeli wiesz, to mów! — zawołał Degulis — mów, jakieś chrześcijanin!

skiego. Przyczynek pierwszy poświęca sędziwy historyk rozwiązaniu kwestji: czy Piastowicze nosili zarost? W drugim rozdziale, obejmującym trzy niespełna stronicę, zastanawia się autor nad imionami Piastów i dochodzi do przekonania, że do XIV w. były one wyłączną własnością dynastów. Dopiero z biegiem czasu wychodzą po za szczupłe granice rodziny Piastowskiej. Samo zaś imię Piast, które później nie powtarza się wcale, było przed laty dość pospolite, dopóki nie wyróżnił się jeden z posiadaczy tego imienia i nie nadał go potomkom swoim. Wyprowadza nadto z owych dochodzeń autor wniosek, podług nas, niezupełnie źródłami poparty, że wszystkie miejscowości o imionach, pochodzących od imion Piastowskich, były fundacjami Piastowiczów, o ile założeniem nie sięgały w dół poprzednią, kiedy owe imiona szersze miały znaczenie, kiedy był ogólną Polan własnością. W trzecim przyczynku rzuca autor nowe światło na wiadomości o Polsce X wieku, podane przez żyda hiszpańskiego, posła na dworze Ottona I, Ibrahima ihu Jakóba, oraz Al-Tartuschi'ego, muzułmanina. Pierwszy, bawiąc na dworze cesarza niemieckiego w Merzeburgu w r. 973, mógł wiele rzeczy słyszeć o Polsce, trudno wszakże przypuścić, żeby ów gość hiszpański osobiście bawił u nas, a Al-Tartuschi, jak sądzi p. Kędrzyński, poprostu korzystał z przekazów Ibrahima.

Następny przyczynek, poświęcony zjazdowi gnieźnieńskiemu r. 1000, zawiera bardzo śmiałą hipotezę o wizycie Ottona III, że nie użyjemy innego określenia dla tęczowej bańki mydlanej, wysnutej z całkiem fałszywego rozumienia przekazów społecznych. O owej pamiętnej uroczystości w Gnieźnie, na której nie hamujący się w zapalch cesarz-entuzjasta, Otton III, włożył djadem na skronie Bolesława, powiada autor: „Cesarski djadem na głowie Bolesława oznacza przyszłego cesarza, bo Bolesław, jako współlegat, miał być w danym razie nietylko zastępcą, ale także następcą Ottona.” Hipoteza ta jest tak naiwna i tyle z dążeniem ówczesnego mocarstwa niemieckiego niezgodna, że prawdopodobnie żaden z historyków... nie pokusi się o jej obalenie. Oparta na prostym urojeniu, upadnie sama przez się, jako bajeczka, zawieszona w powietrzu dla rozradowania oczu i serca.

Wreszcie w ostatnim przyczynku mówi autor o księciach wiślańskich.

Inną rozprawę, w tymże zeszycie umieszczoną, poświęca p. W. Kędrzyński najdawniejszym żywotom ś. Wojciecha i ich autorom. Studium to, oparte na sumiennych badaniach, owoc pracy całego szeregu lat, jest zbyt specjalne, żeby zająć mogło ogół czytający. Mamy tu dochodzenia genetyczne trzech żywotów apostoła: „Passio sancti Adalberti, episcopi et martyris” (Męczeństwo św. Wojciecha, biskupa i apostoła), „Vita et passio sancti Adalberti martynis” (Żywot i męczeństwo itd.), oraz „Passio sancti Adalberti martynis”. Autorstwo pierwszego z powyższych żywotów przypisują powszechnie szlache-

tnemu Brunonowi z Querfurtu. Zaczynają pochodzić ze znakomitej rodziny saskiej, całkiem sercem przyłgnął do Bolesława Chr. i bronił go niejednokrotnie przed cesarzem niemieckim; w liście swoim do Henryka II, pisanym w Polsce, wyraża się z najgłębszym uznaniem i czecią o założycielu państwa polskiego.

Rozprawę powyższą poprzedza studjum młodego historyka p. St. Kędrzyńskiego, p. t. „Gall-Anonim i jego kronika. Autor pragnie zebrać w jedną całość „wszystkie nasze wiadomości o kronikarzu, które się w samej kronice znajdują i na tych wiadomościach dopiero budować twierdzenia i hipotezy... a powtórnie wyjaśnić stosunek wzajemny rękopisów i ustalić ich wartość dla przyszłych wydań i wydawców”. Gruntowna praca p. Kędrzyńskiego rozpada się na dwa rozdziały. W pierwszym, prócz wstępu, znajdujemy: przegląd literatury, wiadomości o Gallu-Anonimie, oraz charakterystykę ogólną. W rozdziale drugim porównywa autor trzy teksty kroniki Gallusowej: rękopis pergaminowy biblioteki Zamoyskich, oraz rękopisy papierowe Sędziwoja i heilberski, i dochodzi do wniosku, że najpoprawniejszy jest kodeks Zamoyskich, od którego pochodzi rękopis Sędziwoja i heilberski.

Zasługuje w końcu na uwzględnienie w tymże zeszycie pomieszczona praca najwybitniejszego znawcy historii naszej XV wieku, Zygmunta Lewickiego, p. t. „Przymierze Zygmunta, w. ks. litewskiego, z królem rzymskim, Albrechtem II”. Po ustąpieniu Świdrygiełły, u steru rządu stanął Zygmunt Kiejstutowicz. Stosunek Polski do Litwy nie był zupełnie szczery. Nie myślał król wydawać w ręce Zygmunta Łucka, do czego wszakże na mocy umowy grodzieńskiej (1432) był obowiązany. I oto Zygmunt, widząc to nielojalne zachowanie się wobec siebie Polski, szuka sprzymierzeńca przeciw koronie. Znalazł go wkrótce w osobie Albrechta II, króla rzymskiego. Liczne przesyłali sobie poselstwa w tej sprawie obaj panujący; sojusz jednak nigdy do skutku nie przyszedł, gdyż nie chciał doń ręki przyłożyć wielki mistrz Zakonu, przebiegły dyplomata, Russdorf. Król rzymski nie dał wszakże za wygraną. Korzystając z niesnasek wewnętrznych, jakie wówczas wybuchły w obrębie Zakonu, zamierzył był, pominąwszy Russdorfa, połączyć się z Deutschmeistem, który stanął na czele opozycji, wytworzonej przeciw Russdorfowi, oraz z Zakonem inflanckim, który podobnie stanął po stronie wielkiemu mistrzowi wrogiej. I te wszakże rokowania do niczego nie przywiodły. Panowie litewscy, z wyłączeniem garstki nieznacznej, odstąpili Zygmunta po owej niefortunnej próbie knowania przeciw Polsce, widzieli bowiem wyraźnie, że w wypadku zawarcia sojuszu grozi im napaść ze strony Polski, a może i Prus. I oto Zygmunt, widząc się odosobnionym, niepoparty wśród swoich, zagrożony wojną, sojusz zaniechał. Wprawdzie wyprawił Russdorf do Albrechta II wysłańców z zaprzeczeniem, że o wojnie nie myśli, mimo to jednak „pewną jest rzeczą, że właśnie

szczęścia sam został: Degulowie pobiegli do syna, do syna, który leży od wczoraj w lesie i nie dycha...

— Co mam wiedzieć, co mówić? — odparł stary; — ot Pan Bóg biedę zesłał: baba mi konała tej nocy, jeno skonać nie mogła... Ledwie dycha, nieboga... Zresztą — nic! Zawiedziony bogacz w gniew zdawał się wpadać:

— Nic? nic? A pocięż przyszedł znowu? — zawołał ujmując się pod boki. Czego ty chcesz odemnie, włóczęgo jeden? He, co?

— A no, nie gniewajcie się, Degulu, wedle trumny przyszedłem — usprawiedliwiał się biedak; — wy ich macie zapas, gdybyście poborgowali tedy, dla miłości Chrystusa...

— Właśnie — w porę! — przerwał gniewnie Degulis; — mnie col... I zakławszy brzydko, iść ku wrotom począł.

— Zaczekajcie, Degulu! zaczekajcie! — wołał za nim leśnik — bo może by do dworu dać znać? może policję sprowadzić? Mogę pójść.

— A choćby do piekła idź! mnie col

— Jak to c o, kiedy to wasz syn?... Degulis przystanął:

— Syn? co — syn?

— A leży od wczoraj wedle tej mogiły co w lesie... Leży, ale już nie dycha...

— Jezus, Marja! — rozdarł powietrze krzyk podwójny rodzicielskiej rozpacz i zgrozy; wkrótce też zwiastun nie-

Stary Tomasz patrzył za oddalającym się małżeństwem i głową kiwał, a gdy już znikli mu z oczu, zdawało się, że świronek Degulów zwrócił na siebie szczególną starca uwagę. Naprzód obejrzał go zdaleka, potem bliżej przystąpił i długo czegoś po ziemi szukał... Znalazł wreszcie: na wilgotnym piasku, widniały ślady stóp ludzkich... Pochylił się nad niemi, głową kręcił:

— Takusieńkie — mruknął — kubek w kubek — jak u mogiły w lesie... Troje tylko ludzi nosi takie lakierowane chodaki, z misterną kratką na podeszwie... I liczył dziad na palcach: dziedzic, ksiądz wikary i ten cacany panicz, od kozuchów... Tak, to on!... — pomyślał trochę.

— Mnie col! — zawołał nagle, — mnie col! — i ręką strzepnąwszy, odchodzić miał; lecz się zawahał i niebawem powrócił, do drzwi pukać jął.

Dobrą chwilę czekał, zanim otworzyła mu Kotra.

Była zmieniona do niepoznania: żółto blade na twarzy, oczy podkrążone, patrzyły jakby nieprzytomnie, ciskając fosforyczne jakieś blaski; włosy rozczochrane, odzież w nieładzie...

Stary spójrzył na nią i znów głową pokiwał.

z powodu tego rozdarcia Zakonu do ostatecznego przymierza między Zygmuntem a Albrechtem II nie przyszło". Zygmunt zmuszony był pogodzić się z koroną, co nastąpiło 31 października 1439 r. W pół roku później, d. 20 marca 1440 r., poległ zamordowany przez zbirów.

Ludwik Finkiel w artykule „Polityka polska w sprawie węgierskiej” (Kwartalnik historyczny, 1899, zes. III), na podstawie tomu X *Acta Tomiciana*, opowiada o sprawie Jana Zapolyi, która w latach 1526—1528 była przedmiotem ciągłych debatów w gabinecie Zygmunta Starego i wśród panów jego rady. Po fatalnej bitwie mohackiej sam Zygmunt Stary jał się starać o koronę węgierską. Posłowie atoli przybyli do Węgier zapóźno; d. 5 listopada (1526) wybrano w Szekesfejerwarze Jana Zapolyi, a w 20 dni później stronnictwo habsburskie, zgromadzone w Komornej, obwołało królem Ferdynanda. Zapolya w celu pokonania przeciwnika zawiązuje stosunki z monarchiami zachodu; Ferdynand zaś dąży przedewszystkiem do pozyskania dla swoich widoków Polski. Dla Zygmunta więcej korzyści przedstawiała sprawa Zapolyi, który musiałby się oprzeć przedewszystkiem na sojuszu z Polską i wspólną z kancelarją Zygmunta prowadzić politykę, jak to czynili Jagiellonowie węgierscy. Ale powikłania dyplomatyczne państw ościennych oraz niepewność sprawy Zapolyi zmusiły króla do zajęcia stanowiska neutralnego, do odegrania roli pośrednika pokoju między Zapolyą a Ferdynandem. Krótko wszakże trwał pokój między królem Janem i Habsburczykiem. Zjazd w Ołomuńcu spełził na niczem. Wkrótce obiedwie strony ruszają na pole walki, a zarazem zjawiają się w Piotrkowie ich poselstwa. Król wszakże i tym razem nie schodzi z dawnego stanowiska, lubo w Polsce sprawa Zapolyi cieszyła się ogólnie sympatją. I niedługo ukrywano ją pod korcem. Po nieszczęsnej bitwie pod Szina koło Tokaju Zapolya szuka schronienia w Polsce, dokąd przybywa wraz z 600 rycerzy na mocy giletu królewskiego. Zwycięzonego zaprasza na swój dwór genialny Tarnowski. Na decyzję przychylną Zapolyi mieli wpływ u Zygmunta najwybitniejsi dygnitarze państwa, z Piotrem Tomickim na czele. Nie mógł na to sprzyjanie Zapolyi patrzeć obojętnym okiem Ferdynand. Miał on w Polsce możnego poplecznika, smutnej pamięci Krzysztofa Szydłowieckiego, który pobierał od Ferdynanda 600 dukatów węgierskich rocznej pensji. Ciesząc się zaufaniem Tomickiego, liczne od niego otrzymywał listy, z których dawał potajemne relacje Ferdynandowi. Wkrótce przybywa do Polski poselstwo austriackie, domagając się wyświeślenia sytuacji. W tym samym czasie wyrusza Hieronim Łaski do Turcji i zniewala Wielką Portę do dziesięcioletniego zawieszenia broni z Polską. Ale gabinet Zygmunta nie mógł przystać na te pertraktacje młodego dyplomaty, gdyż już 10 kwietnia Turcja wypowiedziała wojnę Ferdynandowi, a Hieronim Łaski stanął na czele oddziału turecko-tatarskiego. W ten sposób neutralne stanowisko Polski wobec sprawy Za-

polyi i Ferdynanda byłoby jawnie naruszone. Zygmunt wyprawia do Ferdynanda Piotra Opalińskiego, który miał za zadanie pogodzić obu królów, a to wobec grożącego ze strony Turcji niebezpieczeństwa. Do króla Jana został z takąż instrukcją wysłany Stanisław Tarło. Zapolya odpowiedział dumnie wysłańcowi królewskiemu, że będzie do upadłego bronił słuszych praw swoich do korony węgierskiej. Podobną odpowiedź przyniósł Opaliński od Ferdynada. Nadto obaj królowie wyprawiają własnych posłów do Zygmunta: Zapolya z przypomnieniem przyrzeczonej pomocy, Ferdynand zaś z wymówkami za udzielone Janowi schronienie. Niebawem wszakże z widoków politycznych ukrywana dla Zapolyi sympatja wybucha jasnym płomieniem. Na bruku krakowskim zjawia się zuchwały Hieronim Łaski, opowiada o wielkich widokach dla króla Jana, w barwnych obrazach maluje zwycięstwa armji tureckiej. W październiku r. 1528 opuszcza Zapolya Polskę. Ustęp listu Brodertisa dowodzi, że owo zachowanie neutralnego stanowiska Polski czynione było tylko w oczekiwaniu wypadków. „Już nie mamy potrzeby ukrywać się. Niech Bóg wybaczy, że z pomocą niewiernych król Jan odbiera niesprawiedliwie zabrane sobie królestwo.”

Szymon Askenazy w artykule p. t. Przyczyny wielkiej wojny 1812 r. („Bibl. Warszawska 1899 grudzień”), z ogromnym talentem historycznym, z umiejętnością żywego odtwarzania wydarzeń, w zdaniach zwięzłych i lapidarnych, objaśnia główne etapy potęgi i upadku Napoleona. Fatalista w pojmowaniu dziejów, zmniejsza autor wpływ indywidualny na wypadki osobistości historycznych. Znamienne istotnie są słowa Napoleona, wyrzeczone na wyspie Św. Heleny, a które p. Askenazy kładzie na wstępie swej rozprawy: „Nie byłem panem swoich czynów, gdyż nie byłem tak szalonym, aby chcieć skurczyć wypadki stosownie do ukształtowania się mego systematu lecz przeciwnie nagiąłem swój systemat do nieprzewidzianego zbiegu okoliczności.” Piękne powiedzenie, głębokie i doniosłe. Wyrzekł je nie pogodny myśliciel w gabinecie zawałonym księgami, ale wódz doskonały, wytrawny dyplomata, cesarz, niedawno groza Europy; ale wyrzekł je niestety nie bez sporej domieszki melancholji, która go musiała ogarnąć na wspomnienie dawnej chwały i potęgi. Winien był autor w założeniu swego studjum, baczniejszą zwrócić uwagę na inne powiedzenie Napoleona, większej jeszcze doniosłości, bo wypowiedziane w samym ogniu wypadków, kiedy zawisła nad Francją ciężka chmura wojny europejskiej. „Sam zbyt wiele wydałem bitew, mówił cesarz do Czernyszewa, abym nie miał wiedzieć, na jak małych rzeczach los bitew zawisa.” I dotyczy to nie tylko utarczek polowych, ale i walki, walki wszechstronnej, jednostki z społeczeństwem i ludzkością, systematu z wypadkami. Nie będziemy tu podawali w streszczeniu wypadków, znanych każdemu z czytelników. S. Askenazy powtarza je, rzucając tu i owdzie nowy lub mało wyzyskany

— Czego chcecie? — spytała opryskliwie.

— Kotro, tyś mojej babie przyniosła ongi kaszy; a no, nie wiele się jej należy... — mówił dziad poważnie, uroczystości prawie: Kotro, Bóg nad tobą i nad nami wszystkimi! Umieć ty czysto wedle świronka: będzie... ładniej!

Tu koniec Tomaszowego kija, przypadkiem niby, owe ślady na piasku wskazał... Kotra gwałtownym spłonęła rumieńcem i za miotłę z gorączkowym pośpiechem porwała...

Lecz stary leśnik nie widział ani rumieńca ani pośpiechu Degółówny, gdyż odwrócił się już był i odchodził: za to Degółówna widziała dobrze, iż odszedł ku dworowi...

Upłynęło trzy miesiące.

W miasteczku, na probostwie, w schludnym a zacisznym gabinecie, siedział sobie proboszcz miejscowy nad brewiarzem, gdy wszedł zakrystjan, a stanawszy u progu, czekał aż ksiądz pacierze swoje skończy.

Zakrystjan jest małym, niepoczesnym człeczyną. Oprócz sporego brzemia lat i dużego, czerwonego nosa, dźwiga on jeszcze za plecami spory garb, niby bochen razowca... Lecz świeżo wygolona broda, kilka siwych kosmyków, zręcznie zaczesanych na lysinę, czerwony fular pod krótką

szyją, oraz długa, czarna, prawie nowa kapota, krojem przypominająca sutanę, każą domyślać się w szanownym słudze kościoła, pewnych światowych pretensji.

— A co tam? — spytał wreszcie proboszcz, wzroku nie podnosząc z księgi; — bo jeżeli do chorego, to niech już tam ksiądz wikary...

— Nie do chorego, ojczek, a tak... — jękał się kłaniając zakrystjan; proboszcz spojrział nań zżłiwiony i — bar dziej się zdziwił.

— Cóż to? gala jakaś u acana?...

Zakrystjan pokłonił się jeszcze niżej.

— Aby nie bała mucić długo — rzekł, — błogosławcie ojczekul — bo oto postanowiłem pojąć niewiastę... I machnął ręką, co miało znaczyć rezygnację.

— Ty? ty? — zawołał pełen zdumienia proboszcz; — chyba ci się od tej nieszczęsnej gorzałki do reszty w głowie, poplątały klepkil

— Bóg najwyższy — świadek, że prawie na czczo! — bronił się z ręką na sercu, kandydat do żeniaczki.

— Ha, więc gadaj: co, jak, po co?

Zakrystjan odetchnął, jak gdyby mu po przełamaniu pierwszych lodów, ciężar z serca spadł; odsapnął dla nabrania tchu i tak zaczął:

— Dowiedziano jest: źle człowiekowi nieżonatemu...

szczegół, mniej lub więcej doniosły. Chcieliśmy tylko zaznaczyć niezupełnie zgodne z prawdą historyczną ujmowanie wpływu indywidualnego w dziejach oraz małe akcentowanie na pozór niewidocznych wypadków historycznych, które niekiedy rozstrzygają los tego lub innego państwa, tej lub innej postaci dziejowej. W historii niema fatalizmu bezwzględnego, nawet rozumianego ewolucyjnie. Dobrze ongi powiedział Pascal: „Gdyby Kleopatra miała nos nieco krótszy, postać ziemi byłaby odmienną.”

W tymże zeszycie „Biblioteki Warszawskiej” znajdujemy artykuł p. Wł. Smoleńskiego. p. t. „Uwięzienie Kołłątaja.” Na podstawie pamiętnika Antoniego Trębieckiego, pośła inflanckiego na sejmie czteroletnim, (p. t. O rewolucji r. 1794), oczyszcza autor Kołłątaja z niecných kalumnji, rzuconych nań przez nieżyczliwych i wrogów, jakoby uchodząc z Warszawy, uwioził z sobą ze skarbu publicznego, którym podczas insurekcji zarządzał, miljon w gotowiznie, wekslach i klejnotach.

Pamiętnik, z którego p. Smoleński korzysta, tem większą w danym wypadku posiada wartość, i tem bardziej ufać mu można, że napisany ręką wroga Kołłątajowi usposobionego człowieka, technie nienawiścią i pragnieniem pomsty za osobiste doznane krzywdę, za wpływem bowiem Kołłątaja Rada najwyższa usunęła Trębieckiego od komendy cyrkułowej. Otóż dowiadujemy się, że przy Kołłątaju, kiedy zatrzymał się w Przemysłu, znaleziono wszystkiego 15000 dukatów. Była ta suma, która w rękach człowieka przedsiębiorczego, posiadającego dom, place i składy drzewa w Warszawie, w nikim podejrzenia budzić nie mogła.

Cały niemal artykuł p. Smoleńskiego składa się z dosłownych wypisków z pamiętnika.

Z rozpraw literackich z powodu braku miejsca ograniczamy się tylko wzmianką o drobiazgowo-sumiennej pracy p. Tadeusza Piniego p. t. Źródła historyczne „Irydjon” Zygmunta Krasieńskiego. („Kwartalnik historyczny.” 1899 zesz. III). Autor po dokładnem zbadaniu tekstu arcydzieła i dopisków dochodzi do wniosku, że poeta dla rzucenia tła dziejowego w podniosłym poemacie korzystał z Gibbona: Historji upadku państwa rzymskiego i dzieła Ferriere’a p. t. Życie, a nadto dość często zaglądał do dziejopisów rzymskich. Tu przede wszystkim bogatą skarbnicą wiadomości, dotyczących życia i kultury Rzymian, były dla poety pisma Diona Cassiusa i Aeliusa Lampridiusa, zresztą zbiór historyków p. t. Scriptores historiae Augustae. Życie chrześcijan więcej barwami indywidualnej fantazji oddane, oparł poeta na Gibbonie a może i na historii kościelnej Eusebjusza. Germanowie zostali odtworzeni na podstawie Tacyty oraz Eddy, prawdopodobnie nietylko w tłumaczeniu Lelewela. Wreszcie rozczytawszy się o autorach klasycznych mniej ogółowi czytającemu znanych, docho-

dzi skrzętny badacz do wniosku, że imiona Amfilocha i Elianoi przejął poeta z jednej z erotyk Partheniosa.

J. ZAHORSKI.

Jak mieszka uboga ludność Warszawy?

I.

Wszystkie sfery społeczeństwa odczuwają drożyznę mieszkań; średnio zamożni zmniejszają mieszkanie, aby doprowadzić do równowagi swój budżet domowy; biedna rodzina, której cały lokal składa się z jednej kuchni, nie może tego uczynić i zmuszona jest przyjmować sublokatorów; stanowi to dla niej pewną ulgę pod względem ekonomicznym, ale wyrządza zarazem i wielką krzywdę pod względem higienicznym i moralnym. Trudno sobie wyobrazić powietrze w takiej izdebce, gdzie sypia kilka lub kilkanaście osób, i jaki demoralizujący wpływ na młodzież wywiera, ten wspólny pobyt w jednej izbie kilkunastu osób obojga płci zupełnie obcych. Ale nie zawsze można dostać sublokatorów, bo i ci mają swoje wymagania, wybierają takie lokale, gdzie pokój duży, a dzieci mało. Gdy zaś pokój jest mały i rodzina dość liczna, musi się ona wprowadzić do innego mieszkania, ale już w charakterze sublokatorów. Jest to teraz powszednie zjawisko, gdyż wobec stale powiększającego się komornego, coraz mniej rodzin jest w stanie zajmować oddzielne mieszkanie. Bardzo mało jest wypadków odwrotnych, że sublokator staje się głównym lokatorem. Obecnie w ten sposób urządzają się spekulanty, którzy wpuszczają następnie taką ilość sublokatorów, aby ich samych mieszkanie nie kosztowało. Podobno istnieją jakieś przepisy ograniczające ilość sublokatorów, ale naturalnym zbiegiem okoliczności, muszą one zostać martwą literą.

W mieszkaniach takich jest przeważnie brudno, i nie jest to jakiś specyficzny brud żydowski lub chrześcijański, ale jest to brud nędzy, jaki spotykamy u ludzi wszystkich wyznań, o ile mieszkają *en masse* w domach nieskanalizowanych, bez wody i zlewów, gdzie wszelkie mycie połączone jest z ciężką fizyczną pracą noszenia wody na górę i pomyj na dół, a pranie z musowem przebywaniem w domu z powodu braku bielizny do zmiany. Stokroć czystiej jest w domach specjalnie dla biedniejszej ludności zbudowanych z uwzględnieniem przynajmniej ważniejszych wymagań higieny t. j. wodociągów i zlewów. Jako objaw pocieszający możemy wskazać, że ludność uboga, zarówno chrześcijanie, jako też i żydzi, chętnie zamieszkują takie domy, o ile znajdują się one w odpowie-

— Tylkoż mi tekstów świętych nie wykręcaj! — przerwał ksiądz; — do rzeczy!

— Ja też chciałem... Ale skoro nie, to nie. Rzeknę tedy krótko, a węzłowato: starość — nie radość, ojczekko, zwłaszcza, kiedy jak ten powiada: Ni żony ni dzieci. Eh, smutno się robi człowiekowi, tak czasem smutno, że choć wyj, usiadłszy w kuczki, jak sobaka...

— Zwarjował, na prawdę — zwarjował — pomrukiwał ksiądz, a zakrystjan rozczulał się coraz bardziej:

— Ah, a! sierota ja, ojczekku, sierota! Służyło się kościołowi, matce naszej, służyło się wiernie pół wieku, a przecież gdy czasby już i spocząć, — ani głowy gdzie przytulić! Sam, jak palec jestem, a goły — jak bizun!

— Gdybyś nie napijał się tak często...

— Eh, co tam, ojczekku! czy i tej marnej kapki żałujecie mi już? A no, i na nią wkrótce nie starczy: jaki bo teraz świat? Sodoma, Gomora! Mało kto pamięta nawet, że gdyby nie my, wszyscy ludzie byliby poganami, *ergo*, na potępienie wieczne iść by musieli, albowiem powiedział: no jest...

— Do rzeczy, do rzeczy! — znowu przerwał proboszcz. Chcesz tedy żenić się podobno?... Ha, mniejsza o to: przypuśćmy — żeś zwarjował; ale, człowieku, gdzie kobieta, któ-

raby się zgodziła takiego niedołęgę i pijaka poślubić? Żadna nie zechce.

— Che, che, wolne żarty, ojczekku, jak to nie zechce-kiedy już chce?

— Doprawdy? No — no! I któż to chce ciebie?

— A Kotra Degulówna.

— Co? Degulówna? Kłamiesz! być nie może! — zaprzeczył stanowczo proboszcz: Najbogatsza dziewczka w parafji. Być nie może!

Zakrystjan wyprostował marną swoją postawę, ile się dało.

— Jak to — być nie może, kiedy jest? — spytał tonem obniżonej godności.

— Jest? patrzcie go! jest — powiada; swaty posyłałeś, czy co?

— Ii — nie! one same przyszły do mnie, to jest, niby matka z córką, przyszły — no — i proszą się...

— Proszą się? Skończenie świata! Nie rozumiem!

— Ale ja, ojczekku, rozumiem dokumentnie, jeno skrupuły mam.

— Skrupuły masz?

— A juści. Panna, powiadają, piękna — to dobrze, choć ja tam już i niedowidzę troche; bogata — jeszcze lepiej, a to sam spenetrowałem ongi... Stary, przed śmier-

dnich dzielnicach miasta, drobny bowiem rzemieślnik, musi mieszkać tam, gdzie może liczyć na klientelę, robotnik — blisko swej fabryki, przekupień lub handlarz, mający stragan na jakim bazarze, stara się zamieszkać jak najbliżej bazaru itd. Są wreszcie rozmaite gałęzie pracy, które koncentrują się w pewnych dzielnicach, co zmusza ludzi, zajęcie to uprawiających do zamieszkania w tejże dzielnicy. Takie uwagi natury ogólnej nasuwają się każdemu, kto bliżej się tym stosunkom przyjrzy, a są to wnioski wyciągnięte z badań nad 30 przeszło tysiącami ubogiej ludności zamieszkałej w rozmaitych dzielnicach Warszawy.

II.

Celem mojej ankiety było poznanie stanu faktycznego kwestji mieszkaniowej w sferach uboższej ludności miasta Warszawy; za teren badań służyły mi dzielnice wyłącznie lub częściowo przynajmniej przez tę ludność zamieszkałe. Powiśle, dzielnice staromiejskie, oraz dzielnice, gdzie mieszka uboga ludność żydowska. Aby zdobyć należyte pojęcie o zajmującej nas kwestji, zwiedzałem całe domy, jako też i oddzielne mieszkania. Ogółem zbadałem 433 lokale, znajdujące się w 55 domach, na 28 ulicach. Z tej liczby znajdowało się lokali: w suterynach 48, na hacjatkach 13, na parterze i piętrach 372.

Co zaś dotyczy ilości pokoi, to było: lokali jednopokojowych 315, dwupokojowych (t. j. składających się z pokoju i kuchni lub sklepu i pokoju) 45, składających się z 2 i więcej pokoi i kuchni 73.

Już z samej ilości mieszkań w suterynach i na poddaszach, oraz z ilości mieszkań jednopokojowych widać, że zebrane szczegóły mogą się przyczynić do należytego wyświeślenia omawianej przez nas kwestji.

„Bieda z biedą się zejdzie” głosi przysłowie. Biedna ludność koncentruje się w domach oddzielnych, przeważnie w starych ruderach, nieodpowiadających nawet elementarnym wymaganiom higieny. Jest to zrozumiałe, w takich domach zbudowanych ongi, kiedy place sprzedawano bardzo tanio, i ceny materiałów budowlanych były niskie, lokale mogą być tańsze, aniżeli w domach nowych, świeżo wykończonych. Zresztą niewiele jest nowych domów odpowiednio zbudowanych t. j. posiadających lokale składające się z pojedynczych pokoi: panowie właściciele domów nie chcą mieć widocznie do czynienia z ubogą ludnością. A tymczasem popyt na lokale jednopokojowe wzrasta, i widać, że daje to niezły dochód, skoro są i tacy gospodarze, którzy dzielą mieszkania dwu i więcej pokojowe na pojedyncze izby, oddzielnie wynajmowane. Takich mieszkań sporo znaleziono w rozmaitych dzielnicach, najwięcej ich było na ulicy Krochmalnej, gdzie prawie wszystkie mieszkania w jednym domu były odnajęte w ten sposób, oraz na ulicy Franciszkańskiej, gdzie w jednym domu znajduje się

36 takich lokali liczących 75 pokoi. Przy tworzeniu takich mieszkań właściciel żadnych kosztów nie ponosi. Pierwszy pokój, zwykle kuchnię, zajmuje jeden lokator, drugą izbę — drugi. Kuchnia wspólna. Ot i wszystko. Charakterystyczne jest, że w ten sposób mieszka przeważnie ludność żydowska.

W domach, w których mieszkają biedacy, wody oraz zlewów w mieszkaniach niema, i mieszkańcy wszyscy muszą korzystać z wodociągu lub studni znajdujących się zwykle na podwórzu. Z powodu ciągłego noszenia wody na górę i pomocy na dół, schody są stale pokryte warstwą błota, którego nie sposób usunąć. Lokale dzięki przepełnieniu i złej wentylacji, mają swój specyficzny zapach, częstokroć zależny od rodzaju zajęcia lokatora. Wreszcie cały dom zwykle wygląda brudno, a i powietrze na podwórzu do najgorszych nie należy. Co się zaś tyczy poszczególnych lokali, to w suterynach, dość niskich i ciemnych, zaduch jest nie do opisania, okien otwierać nie można, tuż przed oknem przepływa rynsztok; prawie we wszystkich izbach wilgoć. Korytarze ciemne, w domach nowych, o ile urządzają suteryny, są one znacznie wyższe i jaśniejsze, otwór okienny jest zabezpieczony od wody rynsztokowej tak, że okno można otwierać. Facjatkki są tak lichy od wpływów temperatury zabezpieczone, że tylko ostatnia nędza szuka tam przytułku; sufit dość przezroczysty opuszcza się pod kątem w taki sposób, że tylko na niewielkiej przestrzeni można stać prosto nie nachylając się i nie garbiąc. Małe okienka dają bardzo mało światła, a schody — to coś w rodzaju drabinki, przeważnie bez poręczy. Nie o wiele lepsze są, ale już tylko w starych domach, wszystkie lokale jednopokojowe. Bywają one jak najrozmaitszej formy, ale zawsze o jednym oknie; drzwi i okna nie dochodzą. Wszystkie te mieszkania jednopokojowe są dość brudne, nawet przy ochędóstwie lokatorów. Izba służy jednocześnie za kuchnię, stołowy, sypialnię, pralnię, a czasami nawet i za warsztat; nie też dziwnego, że sufit i ściany brudne od kopcju, dymu, kurzu i pary. Podłoga brudna, bo trudno ją myć, sprzętów pełno i ciasno, i mycie podłogi połączone jest z musowem podnoszeniem połamanych gratów, które przy poruszeniu jeszcze bardziej się łamią, a że w dodatku jest to dość ciężka praca fizyczna, więc też mieszkańcy jednopokojowych lokali nie mogą sobie na nią często pozwalać. Lepiej jest znacznie w domach nowych, tam pojedyncze pokoje mają po dwa okna, są dość jasne. Wodociąg i zlew znajdują się w mieszkaniu lub na korytarzu, co znacznie ułatwia utrzymanie czystości i porządku w pokoju.

Co do lokali składających się z 2 pokoi, warto zaznaczyć szkodliwość mieszkań składających się z pokoju i sklepu. W pierwszym bywa zwykle skład sprzedawanych w sklepie towarów, co na wypadek jeśli to sklep artykułów spożywczych, ujemnie wpływa na dobroć towaru, w razie zaś przeciwnym, gdy towar jest innego rodzaju, często zły wpływ wywiera na zdrowie rodziny sklepikarza. Z kolei kilka słów trzeba po-

cią, folwark targował i byłby go pewnie kupił, gdyby nie śmierć syna i ów pięćdziesiąty krzyż, który na ojca się obalił... Mowsza młynarz pomagał pieniądze liczyć... Tylko że ja tych wielkich skarbów trochę się boję... Na uczciwość, ojczek, nie wiedzieć bo za co na tych Degulów, wszystko się wali... Nuż z dopustu Bożego... A jest i skrupuł drugi...

— No, mów już do końca, mów?

— Bo to widzicie, ojczek, ludzie mówią, a raczej — trąbią, że ona — bez wianuska... A że prawdziwy, to jest — pierwszy kochanek, za ono zabójstwo brata, odsiaduje turmę i nie może, czy nie chce się żenić, kat go tam wie, — tedy babom pilno, gwałt!

— Hm. hm! także mi gadaj! Ale to brzydka historia... Bo co do pierwszego — mogę cię upewnić, jako nieboszczyk Degulis nienagane wiódł życie i dobrym chrześcijaninem był, a przeto na dostatkach jego żadne niebłogosławieństwo Boże ciążyć nie powinno. Klęski — niczego nie dowodzą: Kogo Pan Bóg kocha, temu krzyże daje. Tylko to drugie, to drugie...

Zamyślił się ksiądz.

— Fel! ktoby się tego spodziewał! — podjął na nowo, po pauzie. Plotka — chyba, szkaradna plotka... No, ale dopóki się nie wyklaruje — zaczekaj stary, taka moja rada

— Raz kozie śmierć! — z wielką fantazją zawołał zrezygnowany kawaler. A zatem pozwalacie, ojczek, aby te baby weszły?

— Jak to? alboż one tutaj?...

— A jak żel oho, pilno im, więc czekają za drzwiami... Puścić?

— Czekaj! po cóż?... bronił się niezdecydowany proboszcz.

— No, wedle pacierzy, ojczek, wedle artykułów świętej wiary... A i na zapowiedzi damy... To jest — one dadzą, bo im pilno...

— Ha, skoro tak — wołaj acan!

Acan drzwi otworzył szeroko:

— No, możecie już wejść — rzekł protekcyjnie...

W miesiąc później, Kotra Degulówna była już ex-za-krystjanową.

N. F. JANOWSKI.

K O N I E C.

wiedzieć o piecach i kuchniach. Panuje pod tym względem wielka różnorodność, są piecyki żelazne, oraz kuchenki przeważnie na poddaszach i w suterynach, piece kaflowe, oraz także kuchnie, we wszystkich nowych domach, a w starych piece i kuchnie z cegły, jakieś dziwnej formy, bez drzwiczek. Naturalnie, że w większości lokali piece dymią i żadne reperacje nie są w stanie temu zaradzić. Chociaż, co prawda, to pp. gospodarze na ten cel nie wydają zbyt wiele pieniędzy, trudno nawet sobie wyobrazić, jak mało wogóle wydają na reperacje, czego naturalnym wynikiem jest zły stan przeważającej liczby lokali przez biedaków zamieszkałych.

Dotychczas mowa była o wartości mieszkań, teraz o ich cenie. Najtańsze lokale, to facjatki, pojedyncza izba na poddaszu, kosztuje miesięcznie od 4 rubli (Grzybowska ulica) do 8 rubli (Ślizka). Suteryny kosztują po 5 rb. 50 kop., 6 rb. 50 kop., 7 rb. i nawet po 7 r. 50 kop. miesięcznie. Ostatnia cena utrzymała się w niektórych dzielnicach, gdzie jest ogromny popyt na lokale ze względów czysto ekonomicznych, czyli gdzie zajęcie wielkiej ilości ludzi wymaga stałego pobytu. Wogóle cena lokali zależy od piętra, od wielkości pokoju, od dzielnicy, w której dom się znajduje, wreszcie od tego, czy jest wodociąg i zlew. Oto szereg cen jednego pokoju w rozmaitych dzielnicach Warszawy.

na Drodze Górczewskiej (domy Wawelberga)	5 rb. 50 k.	
na Dzikiej w oficynie II piętra	6 rb. — k.	woda jest w mieszk.
na Przemysławowej od frontu rozmaite piętra	7 — 8 rb.	woda na korytarzu.
na Stawkach od fron. IV piętro	8 rb. — k.	woda w mieszkaniu
na Solcu rozmaite piętra . .	8 rb. — k.	" "
na Nowolipiu w oficynie parter	9 rb. — k.	" "
na Smoczej w oficyn. III pięt.	9 rb. 50 k.	" "
na Grzybowskiej w oficynie rozmaite piętra	7 — 8 rub.	wody niema
na Franciszkańskiej	8 rb. 25 k.—10 r.—12 r.	wody niema
na Smoczej rozmaite piętra .	10 rb. — k.	wody niema
za Żelazną Bramą III piętro	12 rb. — k.	" "
na Bonifraterskiej od frontu III piętro	12 rb. — k.	" "

Ceny mieszkań z pokoju i kuchni są dość rozmaite i zależą również od wyżej wymienionych przyczyn. Oto szereg danych dotyczących tej kwestji.

Na ulicy	komorne miesięcznie	woda i zlew
Droga Górczewska	8 rb. 40 kop.	jest
Przemysławowej	10 rb. — kop.	"
Nowiniarskiej	11 rb. — kop.	"
Stawkach	11 rb. 50 kop.	"
Smoczej	13 rb. — kop.	"
Mostowej	15 rb. — kop.	"
Wołyńskiej	16 rb. — kop.	"
Nowolipiu	18 rb. — kop.	"
Grzybowskiej	12 rb. — kop.	niema
Ciasnej	11 rb. — kop.	"
Furmańskiej	12 rb. — kop.	"
Stawkach	16 rb. — kop.	"
Franciszkańskiej	od 16 rb. do 22 rb.	"

Tu przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na wyjątkowo we ceny mieszkań na ulicy Franciszkańskiej. Uwydatnia się także ogromna różnica pomiędzy cenami lokali w domach zaoopatrzonych i niezaopatrzonych w wodę i zlew. Widać również, że jedynym regulatorem komornego jest popyt na lokale, ulica Nowiniarska znajduje się tuż obok Franciszkańskiej, a pokój z kuchnią kosztuje o 50% taniej, aniżeli na ostatniej. Nalewki i Żelazna Brama—oto ulice, gdzie lokale osiągnęły *maximum* wartości. W miarę oddalania się od nich komorne zmniejsza się i to z obydwóch stron. Dobitnie przekonywają o tem ceny sklepów:

Pokój i sklep na Gęsiej kosztuje 38 rub. miesięcznie, w jednakowem oddaleniu od Nalewek na Muranowskiej kosztuje 48 rub. 50 k., taki sam lokal i kuchnia; pokój i sklep na Pawiej 14 rub., Piwnej 15 rub.

Mieszkania na Powiślu są tańsze, aniżeli z przeciwległej strony Nalewek, co wynika z porównania np.: 3 pok. i kuch. na III piętrze w oficynie na Muranowskiej, kosztują 28 rub. miesięcznie; 3 pok. i kuch. na I piętrze od frontu Freta, kosztują 22 rb. miesięcz.

Porównanie cen lokali jednopokojowych z cenami mieszkań kawalerskich, oraz składających się z pokoju i kuchni

z takiemiż mieszkaniami w dzielnicach przez zamożniejszą ludność zamieszkałych, smutne daje wyniki: przy mniejszej ilości wygód, biedacy płacą za mieszkania drożej od tych, którzy w ostateczności byłiby w stanie więcej płacić. Nie należy jednak przypuszczać, aby przyczyną drożyzny mieszkań było jakieś ryzyko ze strony właścicieli domu, przeciwnie, nawet tu ryzyko jest mniejsze, bo mieszkania są wynajęte miesięcznie, więc komorne może przepaść *maximum* za miesiąc. Rzeczy tu za komorne nie sekwestrują i nie sprzedają z licytacji, bo to niepotrzebne koszta. Kto za miesiąc nie zapłacił, temu każą się wyprowadzić i basta. Są biedacy, którzy tylko dzięki temu mogą mieć dach nad głową, nie stać ich na płacenie komornego i nawet często na przytułek, ale to są wyjątki, reszta płaci, jedni miesięcznie, inni co tydzień, w dzień wypłaty, a niektórzy nawet i codziennie płacą po parę groszy. I bieda dobrze się wypłaca, świadczy o tem fakt, że stare domy wyłącznie przez nią zamieszkałe przynoszą 15 do 16% netto, nowe cokolwiek mniej 10 — 12%. Domy dla biednej ludności — to interes, do ich budowy nie trzeba nam żadnej filantropji. Wystarczy, aby o tem wiedzieli kapitaliści, którzy jeśli zechcą kontentować się mniejszym, ale pewnym dochodem, mogą zechcieć w ten sposób lokować swoje kapitały i będą omal nie dobroczyńcami, gdy w odpowiednich dzielnicach powstanie cały szereg domów, w których uboga ludność miasta Warszawy, znajdzie tanie, a dobre mieszkania.

LEON W—W.



GŁOSY

Prawa a obowiązki chorych szpitalnych. — Portrety Sienkiewicza. — Poezja na scenie.

(—Alb.). Niedawno w Wiedniu odpowiadał przed sądem D-r G., lekarz ordynujący w szpitalu imienia Rudolfa (Rudolphsspital). Oskarżenie polegało na tem, że lekarz będącemu pod jego opieką robotnikowi J. K., dotkniętemu karbunkulem na twarzy, nie w celu leczniczym, lecz w celu doświadczenia, zastrzyknął surowicę rzeżączkową, która wywołała u chorego chorobę, połączoną z silną gorączką, i następnie puścił mu krew celem jej zbadania. Podczas śledztwa sądowego wyjaśniło się, że oskarżony podobne „doświadczenia” robił także na innych chorych, nawet nieletnich. D-r G. swoją obronę opierał na tem, że czynione przez niego doświadczenia na zdrowie chorych żadnego szkodliwego wpływu nie wywierały. Sąd wprawdzie uwolnił go od odpowiedzialności, ale tylko ze względów formalnych (przedawnienia), w zasadzie zaś uznał tego rodzaju doświadczenia na żywych ludziach za nadużycie, godne potępienia. I słusznie, bo D-r G., wiedząc, że jedynym celem pobytu chorego w szpitalu jest odzyskanie zdrowia, świadomie nadużył jego zaufania i korzystał z położenia pacjenta w celu może chwalebny, lecz żadnego zgoła związku z tamtym celem nie mającym; t. j. działał w myśl antyspołecznej zasady: cel uświęca środki.

A jednak coś pokrewnego, jakkolwiek—zastrzegamy to z góry — bez udziału złej woli, dzieje się powszechnie w klinikach szpitalnych.

Jak wiadomo, wykłady na wydziałach medycznych wszystkich uniwersytetów odbywają się nietylko w aulach, lecz także w klinikach, mieszczących się przy szpitalach. Kliniki takie bywają rozmaite, jako to: djaagnostyczne, terapeutyczne, chirurgiczne, akuszerskie, ginekologiczne, chorób skórnych i wenerycznych, chorób umysłowych i in. Zwykle obok sal, zajętych przez chorych, znajduje się sala, przeznaczona wyłącznie na audytorjum; lecz zdarzają się kliniki, w których osobnych audytorjów niema.

Wykłady w klinikach odbywają się w ten sposób, że profesor, omawiając teoretycznie daną chorobę w obecności gremium studentów (w liczbie 30 do 70), a czasami i wszystkich chorych, leżących na sali, jednocześnie „demonstruje” odpowiedniego chorego, na ten cel przezeń zakwalifikowanego, t. j. objaśnia na nim objawy choroby, będącej przedmiotem wykładu, przy czem zwykle studenci,

bliżej chorego stojący, oglądają lub wypukują i wysłuchują na nim omawiane objawy. Oprócz tego każdy z chorych klinicznych oddany jest pod opiekę jednemu ze studentów, zwanemu jego „kuratorem”, który obowiązany jest obserwować przebieg choroby i w tym celu ma prawo w każdej porze dnia chorego poddawać badaniu. Gorliwsi z kuratorów nawet próbują na własną rękę leczyć swoich „pupilów” i wykonywać nad nimi (mniej lub więcej nieudolnie) różne manipulacje.

Dla ścisłości dodać należy, że w niektórych klinikach są zachowywane pewne środki ostrożności. Naprz. w klinice chirurgicznej studenci dotykają się chorego tylko przed operacją; w czasie zaś operacji przyglądają się jej przebiegowi zdala. W klinice akuszerskiej dopuszczani są najwyżej 5-ciu studentów jednocześnie.

Jak widzimy, środki powyższe czynią zadość tylko elementarnym warunkom aseptyki, lecz nie uwzględniają wcale postulatów nowoczesnego leczenia.

Z góry można przewidzieć, że „demonstracja”, a nawet i „kuratela”, stosowane w warunkach wyżej opisanych, muszą być co najmniej niemiłe każdemu przeciętnemu choremu bez względu na jego wiek i płeć. I w rzeczywistości to się sprawdza, bo często się zdarza, że chorzy przeciw nim protestują, a nawet im się stanowczo opierają, wskutek czego albo sami się wypisują, albo bywają wypisywani, jako wyłamujący się z regulaminu kliniki. A dajmy na to, że „obiektem demonstracji” jest osoba nerwowa, albo młoda kobieta, dotknięta mniej lub więcej sekretną chorobą skórną, czy ginekologiczną. Każdy to chyba przyzna, że uczucia i wzruszenia, jakich taka osoba doznaje, muszą złożyć się na niezmiernie przykrą kombinację, w której analiza wykazałaby wstyd, strach, przygnębienie, a nawet oburzenie, a która u osób uczuciowo wykształconych (takie zaś zdarzają się w szpitalach coraz częściej) może spotęgnować się do tortur moralnych. A wiadomo, że takiego rodzaju uczucia i wzruszenia sprzeciwiają się kardynalnym zasadom terapii, głoszącej, że jednym z głównych zadań lekarza jest wpływać dodatnio na stan duchowy pacjenta i w ten sposób dopomagać naturze do pokonania zbroczy i dolegliwości fizycznych.

Ale oprócz tej moralnej, subiektywnej szkody chory ponosi podczas „demonstracji” także fizyczną, obiektywną. Oddech kilkudziesięciu osób w przeciągu paru godzin, oraz ich niestosowne ubranie niewątpliwie zanieczyszczają powietrze i wytwarzają warunki, sprzyjające rozwojowi bakterii chorobotwórczych i z łatwością mogące wywołać u chorych pogorszenie, zwłaszcza w chorobach dróg oddechowych, skórnych i ginekologicznych, jako też przy operacjach chirurgicznych.

Wiemy, że światli lekarze w zasadzie przyznając słusność powyższym uwagom, usprawiedliwiają jednak „demonstracje” względami praktycznymi i życiowymi. Powołują się więc na to, że: 1-o Przeciętni chorzy szpitalni, jako należący do niższych warstw społecznych, nie upatrują dla siebie w „demonstracjach” żadnej krzywdy moralnej, tembardziej że używani są do nich tylko ci, którzy nie protestują, a zatem milcząco na nie się zgadzają; że 2-o bez „demonstracji” wykształcenie medyczne byłoby niemożliwe, a przynajmniej znacznie utrudnione.

Co do pierwszego, to być może, że wielu chorych poddaje się „demonstracjom” bez szemrania, lecz wnioskować z tej okoliczności, że wszyscy czynią to bez wszelkiej przykrości, wydaje nam się ryzykownym. Przypuszczać raczej należy, że, nie płacąc za kurację ekwiwalentem pieniężnym, uważają za swój prawny obowiązek uiścić się z domniemanego długu *in natura*. Może dawniej ten stosunek miał za sobą pewne pozory słusności, lecz z chwilą zaprowadzenia podatku szpitalnego chory, lecąc się w szpitalu, korzysta z nabytego prawa i do żadnego długu względem kogokolwiek poczuwać się nie potrzebuje.

Jeżeli obecnie chory, poddawany „demonstracji”, nie protestuje, to nie zawsze stąd wnioskować można, że na nią się zgadza, raczej przypuszczać należy, że jest w błędzie co do swoich praw i że wskutek tego ulega pewnego rodzaju przymusowi. Korzystanie z takiej zgody nie czyni zadość wymaganiom nie tylko etyki, ale i prawa.

Co do drugiego, jakoby „demonstracje” miały być konieczne ze względów praktycznych, to oświadczamy, że

względy te w żadnym razie nie są dość poważne, iżby przed nimi ustępować miały wymagania etyki, poszanowanie jednostki ludzkiej. Z historii cywilizacji wiemy, że wiele z dawnych anomalii, uważanych za niezbędne, z czasem bez szkody, a nawet z korzyścią dla ludzkości zniesione zostały.

Wszak powszechnie uznaną jest zasada, że nikt nie ma prawnego obowiązku poświęcać swego życia, zdrowia, sił, a nawet mienia dla dobra społecznego, a więc i dla nauki, o ile go ustawy do tego nie zobowiązują¹⁾. A, o ile nam wiadomo, żadnego odnośnego przepisu, dotyczącego chorych klinicznych, w prawie obowiązującym niema.

Natomiast każdy ma prawo, a nawet moralny obowiązek wedle sił swoich przyczyniać się do wzbogacenia nauki i wogóle dobrobytu społecznego. I nie wątpimy, że zawsze znajdą się tacy chorzy, którzy ze świadomością poświęcenia, lub bez niej, dobrowolnie zgodzą się być „obiektami demonstracji” i „pupilami kuratorów”.

Niechaj medycyna tymczasem z ich usług korzysta, pamiętając jednak, że głównym celem pobytu chorego w szpitalu jest kuracja i że żadnych poświęceń, celowi temu obcych, wymagać odeń nie ma prawa, tem mniej zaś gdy poświęcenie to z celem właściwym stawiać często musi w sprzeczności.

(*) Nie wszyscy wielcy ludzie mają szczęście do portretów. Dowodem Henryk Sienkiewicz. Maluje go i rzeźbi kto żyw, utalentowani i niezdarni, oryginalni i szablonowi — a nikomu jeszcze nie udało się uczynić z jego fizjognomji prawdziwego dzieła sztuki. Jeżeli chodzi o zwyczajne, fotograficzne podobieństwo, to rzecz prosta, możemy je znaleźć w pracy, dajmy na to p. Wyczółkowskiego, którą wystawił w cyklu swoich portretów w Towarzystwie Zachęty. Ale jeśli kto szukać chciałby artystycznego założenia, do którego, zdawałoby się, postać autora „Ogniem i mieczem” powinna się więcej, niż każda inna, nadawać — musi doznać bolesnego zawodu. Przez założenie artystyczne rozumiem: albo taką siłę wyrazu, skupionego przedewszystkiem w oczach, że głowa i twarz zdają się mówić i w nas się wpatrywać, że dusza człowieka wyskakuje przez nie na świat zewnętrzny, — albo też charakter osobistości nadzwyczajny, wyrażony za pomocą rysunku głowy lub otoczenia („*entourage*”) figury, jej tła, pozycji lub innego podobnego momentu wziętego z zewnątrz lub z wewnątrz. Naturalnie, artyzmem również będzie śmiałość i rozmach, i wielka a trafna pewność ręki, lecz o ile nie wyluminuje tych zalet ogień psychiczny portretu — będą tylko ciężką lub malarzką atletyką.

Owóż Sienkiewicz nie zdołał natchnąć prof. Wyczółkowskiego, tego rzeczywiście znakomitego, wspaniałego, artysty — założeniem choć o tyle o ile oryginalnym i niepowszedniem. Boć przecie szeroko rzucony na ramiona płaszcz i ustawienie figury nie w pośrodku płótna, lecz z boku, nie stanowi jeszcze sztuki subtelniejszej i wyższej, zwłaszcza jeśli zważyć, że te same pomysły artysta zastosował w wielu innych swoich pracach. I w dodatku ten płaszcz dziwnie nielicuje z samą twarzą, jakąś psychicznie drobną i statyczną twarzą; ma ona wszystkie cechy portretu na urząd, familijnego, portretu człowieka — przeciętnego. Gdzie tu Ogień, gdzie Miecz, gdzie Hania albo nauczyciel poznański, albo wreszcie choćby tylko Płoszowski? Ani śladu — chyba Połanieckiego Stacha odnajdę. To poprostu twarz przyzwoitego i dosyć inteligentnego filistra, uderzająca odrazu nikłością ducha. Czyżby p. Wyczółkowski tak mało zaczerpnął z dzieł „wielkiego polaka” jak nazywa Sienkiewicza *Słowo*? Lub może liczne fazy i awatary, przez które przechodził sławny powieściopisarz, tak starły z jego oblicza wszelkie wydatne znamiona duszy i pociągnęły je kolorem banalności, tak odebrały mu wszelką głębokość? Proszę mię nie posądzać, że jestem romantyczną marzycielką, która zapełniwszy wszystkie swe sny nocne i wizje dzienne ubóstwianym autorem, nagle staje oto wobec jego portretu i mówi skwaszona: „Więc to to jest Sienkiewicz?”

¹⁾ O tej zasadzie lekarze dobrze pamiętają, czego dowodem są pojawiające się od niedawna skargi na wyzysk ich pracy bezpłatnej w zakładach leczniczych dobroczynnych i domaganie się za nią wynagrodzenia.

A ja myślałam..." Ona myślała, że Sienkiewicz nawet malowany przemówi do niej, jak bóstwo, jak narzeczony, kochanek, jak Skrzetuski, Kmicic lub Zbyszko, jak Petroniusz lub Winicjusz—a tu tymczasem zwyczajny „jegomość w szerokim płaszczu."

Nie, ja takich sentymentalnych złudzeń nie miałbym, wymagania moje są o wiele mniejsze i bardziej trzeźwe—a jednak, —jakże ten Sienkiewicz jest podobny do prezysów kas literackich i komitetów składkowych, prelegentów z „Czarnej kawy" lub rautów ratuszowych! A jednak Wy-czółkowski chwytła wymiennie wyrazy twarzy...

Gdy mi powiedziano, że p. Roman Lewandowski, rzeźbiarz, zbierający swoje laury w Wiedniu, zrobił aż dwu Sienkiewiczów, otucha wstąpiła w serce moje i pobiegłem do Salonu Krywulta.

Jeden z nich, w gipsie, jest portretem głowy, niepozabawionym zapewne podobieństwa, ale czy w wielkim swym hołdzie dla pisarza, artysta nie mógł już zdobyć się na więcej wykintu i smaku? Z prawego boku widziana, szyja jest gruba i zapożyczona od „kupca korzennego", a głowa na niej osadzona niewiem już według jakiego trywialnego wzoru. I nawet strona techniczna, samo modelowanie nie znamionuje wcale tego *minimum* pewności ręki, jakiego wymaga się od portretu o charakterze i przeznaczeniu szerokim, publicznym. Jest to nieopatrzne, że tak powiem, dziennikarskie kwapienie się do wzięcia udziału w ogólnym chórze pochlebstw — i czolobitności, jakaś „aktualna", bieżąca dorywczość, niegodna prawdziwej i szanującej się sztuki. Takie portrety to jak liche i naprędce zlatane mapy Transwaalu w kurjerach, na użytek politykomanów.

I nie odbierze im tego sympatycznego zakroju nawet forma monumentalna. Ten sam p. Lewandowski wystawia jednocześnie brązowy medaljon z popiersiem Sienkiewicza.

Nie ma co mówić—medaljon efektowny, zgrabny, stylowy, ale kogo to on przedstawia? Pożal się Boże! Głowa typu prognatycznego z olbrzymim —nosem. Tak się ona ma do głowy autora „Połanieckich" jak równoległobok pochylony w lewo—do stojącego prosto czworoboku. Nos zaś wyrósł prawdopodobnie na gruncie mniemania, że wielcy ludzie miewają wydatne nosy, a więc nie zaszkodzi wydatność oblicza Sienkiewiczowego zwiększyć, ile tylko można. Takie oczywiście, czysto teoretyczne, względy a nie dokładna obserwacja i nie pamięć artystyczna—kierowały w tym wypadku rzeźbiarzem.

Nie radzę jednak posuwać zbyt daleko zasady, że wydatność nosa znajduje się w stosunku prostym do wybitności portretowanego; wobec bowiem naszego pochopu do rozdawania olimpijskich tytułów, łatwo by się zdarzyć mogło, że Sienkiewicz ocknąłby się pewnego poranku conajmniej... Cyrane de Bergerac.

Plastyka nasza tyle w ostatnich czasach wydała chybionych dzieł, ile pomników. Świadczy to, że od Skopasa i Praksytelesa mistrze dłuta wzięli tylko najgorsze, początkowe części. Niechże, na Jowisza, nie dążą do zupełnego wyjałowienia wielkiej sztuki ci, co twierdzą, że ród swój wywodzą od najgenialniejszej z dawnych greczynek — rzeźby.

(*) Nos Cyrana de Bergerac przypomina mi różowe okulary autora Alberta wójta, Esterki i Turnieju.

W „Strumieniu", który zgrzyta, p. Stanisław Kozłowski zaśpiewał nagle słodki pean zachwyty nad „Poezją na scenie." Dumny on jest z Warszawy, że takie sztuki, karmiące publiczność czystym nektarem i ambrozją, jak *Dzwon zatopiony*, *Zaczarowane Koło* i *Cyrano de Bergerac* miały sukces i to nie lada jaki. Cud ten wydał mi się tak wspaniałym i godnym oglądania z bliska i tak burzącym wszelką tradycję sprawiedliwego snu na sztukach poetycznych, że poszedłem przekonać się: niechże i ja mam swoją Arkadję. Jakoż, w rzeczy samej, na arcydziele Rostanda—teatr świecił gruntownymi pustkami; publiczność, reprezentowana przez ładne, pluszem wyściełane fotele, każdy z parą oczów lornetki za grzbietem—słuchała nadzwyczaj uważnie cudownej tej tragedii, którą najwyższy wykmit galskiego genjuszu zaklął misternie w formę „komedii bohaterskiej." Że jednak z takich słuchaczy

aktorzy—nieznośni impertynencii—nie zbyt wiele sobie robią, przeto p. Żelazowski skracał sobie zadanie w sposób nader prosty aczkolwiek niemiły: połykał słowa i zgłoski, i tak się—śpieszył, jak gdyby chciał czempredziej opróżnić scenę teatru Wielkiego dla nowych sztuk poetyckich i nowych takich samych tryumfów. Nie pochwalam metody. Wysoce utalentowany ten artysta tak znakomicie nadaje się do roli Cyrana, tak wspaniałą ma i szeroką „nonszalancję" w mowie i ruchach, takie szlachetne i ciepłe brzmienie głosu, tak realnie wciela się w postać a porusza uczucia i wyobraźnię nielicznych swoich słuchaczy rzeczywistych, że popełnia grzech, gdy wykonaniu czyni jakąkolwiek ujmę. Powinien zrozumieć przecież położenie. Tu w Warszawie, w mieście zdrowego rozsądku i lichwy, w mieście, które posiada pół kopy towarzystw artystycznych, a nie posiada sztuki i patrzy na nią okiem rozbawionej maseczki z czwartej maskarady — cudny poemat o gaskońskim junaku, poecie, filozofie, nie może mieć powodzenia i mieć nie będzie. Niepodległy, dumny, szalenie odważny Cyrano, który woli dwa dni głodzić się, niż wziąć za kłamkę pańską, który czystość swego białego piórpusza, swych ostróg rycerza i wolnego poety — sławi więcej niż wszelkie dostojeństwa, który w perłowej muszli swej szumiącej werwy zamknął wszystkie łązy morza a w wzniosłej rezygnacji—mękę wszystkich upadłych aniołów, tu w Warszawie zrozumiany i oceniony być nie może. Niech p. Żelazowski połapie się należycie w sytuacji i mimo pustki wspaniałej budy teatralnej gra uczciwie i bez uproszczeń tandetnych. Duch Bergeraca powinien mu być mistrzem, jak to zawsze i wszędzie, w doli i niedoli, nie wolno wchodzić w układy z motłochem i brzydotą ducha.

A p. Kozłowski?—ten pośpieszył się trochę z swą otuchą i przy tej sposobności uczynił fatalne uogólnienie. Postawił w jednym szeregu — dzieła natchnienia i mniej lub więcej udatne kompilacje. Przecież „Dzwon zatopiony" to tylko wdzięczna „Kapelmeistemusik" z Fausta, Solnessa, Zarastury i Böecklina, to piękna przedza, na której wydziernano dobrze znajomy i cudzy wątek. Zaś „Zaczarowane koło" to dopiero „Kapelmeistemusik" z tamtej i innych podobnych. W stosunku więc do wielkich pierwowzorów poezji będzie to zaledwie — dziesiąta woda po ki-sielu.

BŁĘDY JĘZYKOWE

Nr. 213.—W jednej z nowszych powieści czytamy często powtarzający się wyraz *nadziewać*, *nadziać* w znaczeniu *wdziewać*, *wdziać*, *wkładać*, *włożyć* (płaszcz, czapkę itp.). *Nadziewać* po polsku znaczy tylko *napępniać* coś *nadzianiem* (fran. *farcir*).

Z OBCEGO ŚWIATA

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Obrady w parlamencie angielskim.—Wojna transwaalska.—Objazd d-ra Leyd-sa.—Wrzenie w Egipcie.—Próby rozwinięcia sprawy egipskiej.—Kanał Nica-ragua.—Uгода czesko-niemiecka.—Bezrobocie w kopalniach węgla.

Wojna transwaalska pozostaje nadal osiłą, około której obraca się cała polityka europejska. Wszystkie oczy zwrócone są na Anglię. Anglja też jest przedmiotem wszystkich kombinacji politycznych, które posiadają szersze, ogólno-światowe znaczenie.

Przed tygodniem spodziewano się powszechnie zasadniczego zwrotu w wewnętrznych stosunkach Zjednoczonego Królestwa. Parlament angielski zebrał się na obrady dnia 30 stycznia, i przewi-

dywano, że pod wrażeniem ciężkich niepowodzeń wojennych, zmusi gabinet lorda Salisbury'ego, lub przynajmniej właściwego sprawcę wojny, p. Chamberlaina, do ustąpienia. Oczekiwania te zawiodły. Opozycja liberalna nie śmiała wystąpić stanowczo przeciw rządowi i domagać się ukończenia wojny, w obawie utracenia sympatii pośród patryjotycznego tłumu. Zadowolili się więc wytoczeniem zarzutów powierzchownych i oględnym krytykowaniem polityki rządowej, ale przyrzekli zgodzić się na wszystko, co będzie potrzebne do pomyślnego ukończenia wojny. Na protest stanowczy odważył się, oprócz Irlandczyków, tylko były minister liberalny Robert Reid, a poparł go konserwatysta Clarke, który w dosadnych wyrazach potępił politykę Chamberlaina, zażądał dymisji jego i gubernatora Milnera, i domagał się ukończenia wojny, bez upokorzenia republik południowo-afrykańskich. Jakkolwiek mowy te były odosobnione, zrobiły one potężne wrażenie i osłabiły stanowisko gabinetu. Zaczęto już ponownie mu przepowiadać klęskę, i parlament byłby może uchwalił nieprzychylny dla rządu wniosek Fritzmaurice'a, gdyby nie zręczność i wymowa p. Chamberlaina. Minister kolonii posiada wielką łatwość słowa, zdolność dyalektyczną i zna się na psychologii tłumu. Wie, że pewność siebie i śmiałość znaczą więcej od najlepszych argumentów, że oskarża się ten, co się tłumaczy, i że nie trudno przekonać ludzi, jeżeli umie się uderzyć w najwrażliwszą strunę ich serca. Struną ta u Anglików jest poczucie wielkości narodowej i obrażonej dumy. W nią więc uderzył śmiało p. Chamberlain, i zwyciężył. Wstąpił na trybunę, nie jako oskarżony, lecz z miną tryumfatora; zamiast tłumaczyć się z zarzutów, którymi zasypali go posłowie liberalni, oskarżył ich o brak patryjotyzmu; zamiast dowodzić szczegółowo słuszności polityki rządowej, mówił o wielkości Anglii, o jej prawach i obowiązkach cywilizacyjnych. Mowa jego, prześlągnięta duchem imperjalizmu, przekonała posłów, bo wyrażała to, czego pragnęli w głębi duszy, i przechyliła szalę zwycięstwa na stronę rządu.

Zwycięstwo ułatwiają gabinetowi posłowie irlandzcy, krórzcy połączyli się w jedną grupę, pod dowództwem parnellisty Redmonda i postanowili zwalczać stanowczo stronnictwo liberalne, a nawet głosować przeciw wnioskowi Fritzmaurice'a, ponieważ obok nagany dla rządu, uznaje konieczność dalszego prowadzenia wojny.

Obrady parlamentu nie zostały przerwane żadną ważniejszą wiadomością z Afryki południowej. Rozeszła się wprawdzie pogłoska, że gen. Buller zamierza po raz trzeci wyruszyć do Ladysmithu, aby oswobodzić oddział gen. White'a, ale ministerjum wojny nie potwierdziło jej. Dopiero po odrzuceniu wniosku Fritzmaurice'a, ministerjum ogłosiło telegramy otrzymane z nad Tugeli. Wynika z nich, że gen. Buller w poniedziałek przekroczył Tugelę, ale dotąd nie zdołał posunąć się naprzód. Nad granicą zachodnią i południową republik holenderskich położenie jest niezmiennione. Generałowie Methuen i Gatacre, otrzymali wprawdzie posiłki, ale zwlekają z rozpoczęciem działań zaczepnych do nadejścia wysłanej już do Afryki siódmej dywizji i oddziałów ochotniczych.

W pierwszych dniach tego miesiąca w prasie pojawiła się znowu niepewna pogłoska o zamierzonej interwencji mocarstw europejskich w wojnie południowo-afrykańskiej. Wywołały ją podróże d-ra Leyds'a, akredytowanego u wszystkich dworów europejskich, posła transwaalskiego, do Paryża i Berlina. W Paryżu dr. Leyds miał konferencję z ministrem spraw zagranicznych p. Delcassé, w Berlinie z sekretarzem stanu Buelowem i różnymi ministrami. Cel jego podróży jest osłonięty tajemnicą; pogłoski o interwencji mocarstw w każdym razie uchodzą za nieuzasadnione. Pod tym względem więc Anglia może być spokojna.

Rzeczywistym niebezpieczeństwem natomiast grożą jej ruchy w różnych częściach Egiptu i Sudanu. Rząd angielski wysłał większą połowę swoich załóg egipskich, licznych oficerów i kilkanaście dział do Afryki południowej i posiada obecnie w ziemi Faraonów tylko 2,400 żołnierzy europejskich. Zachęcana niepowodzeniem oręża angielskiego i osłabieniem załóg, ludność egipska zaczyna objawiać wyraźnie niezadowolenie z rządów wielkobrańskich, a wojska krajowe w Sudanie podniosły bunt. Zastępca gubernatora Kitchenera, pułkownik Wingate udał się natychmiast do Omdurmanu, i według pism londyńskich, przywrócił spokój. Oficerów, którzy namawiali żołnierzy do nieposłuszeństwa, uwięziono. W razie nowych klęsk angielskich w Afryce południowej, rozruchy mogą się ponowić i przybrać chaarkter bardzo niebezpieczny. W dodatku prasa francuska występuje z żądaniem, aby mocarstwa stałego ładu skorzystały z obecnego stanu rzeczy, i zmusiły Anglię do opuszczenia Egiptu i przeprowadziły w praktyce umowę o neutralności kanału Sueskiego. Paryski *Matin* dowodzi w artykule, uważanym za półurzędowy, że załogi angielskie w Egipcie, na wypadek rewolucji, nie wystarcząłyby do obrony Europejczyków, i zwywa Niemcy, aby uczynili pierwszy krok celem nowego uregulowania sprawy egipskiej. Niemcy skorzystałyby naj-

więcej na wypędzeniu Anglików z Egiptu i uznaniu neutralności kanału Sueskiego. Nie potrzebują się zaś obawiać, aby w razie rozwinięcia tej sprawy, pozostały odosobnione, bo mogą liczyć na pomoc Francji i Rosji. Flota niemiecka wprawdzie jest słaba, ale zjednoczone floty mocarstw są dość silne, aby zmusić Anglików do uległości. Opinia publiczna Niemiec przyklasnęłaby takiemu przedsięwzięciu. Bezczytność cesarza Wilhelma wprowadza na domysł, że ma ręce związane albo przez związki rodzinne, albo też przez tajne układy z Anglią. Jeżeli tak jest w istocie, to naród powinien zrozumieć, że cesarz domaga się powiększenia floty celem poparcia Anglii, a nie celem złamania jej wszechwładzy na morzu. Gdyby trójprzymierze—kończy *Matin*—nie chciało przyczynić się do nowego uregulowania sprawy egipskiej, to dwuprzymierze uczyni to na swoją rękę.—Na razie jest to próżna pogroźka; gdyby jednak w Egipcie wybuchło powstanie, to groźba niewątpliwie zamieniłaby się w czyn, i Anglia, nie zdobywszy Transwaalu, mogłaby utracić wiele ważniejszą pozycję nad morzem Śródziemnym.

Pragnąc zapewnić sobie na wypadek zbrojnego zataргу z Europą pomoc Stanów Zjednoczonych, rząd angielski rzekł się swoich pretensji do kontroli nad projektowanym od dawna kanałem Nikaragua. Skutkiem nabycia wysp Filipińskich, wybudowanie kanału, któryby łączył ocean Atlantycki ze Spokojnym, stało się dla Stanów Zjednoczonych koniecznością państwową. Nie można jednak było dotąd przystąpić do wykonania projektu, ponieważ Anglia rościła sobie prawo do kontroli nad kanałem, na co Stany pod żadnym warunkiem zgodzić się nie chciały. Wojna Transwaalska dopiero, jak dopomogła Niemcom do zdobycia wysp Samońskich, tak też ułatwiła porozumienie się Stanów Zjednoczonych z Anglią. Skutkiem zawarcia ugody, budowa kanału rozpocznie się w najbliższym czasie, a dzięki energii i pomysłowości amerykańskiego, pewno postępować będzie szybciej niż budowa kanału Panamskiego.

W Austrii, za staraniem prezesa ministrów Körbera postanowiono zrobić nową próbę ukończenia sporu narodowego na drodze pokojowej. Konferencja ugodowa przyszła do skutku i rozpoczęła swe obrady w dniu 5 b. m. Biorą w niej udział wszystkie stronnictwa czeskie i liberalne niemieckie, z wyjątkiem radykalnych, które w ugodę nie wierzą i nie pragną jej, ponieważ nie zgadza się z ich celami politycznymi, lecz pozbawiła by je tylko najskuteczniejszego ośrodka agitacji. Konferencja obraduje w 2 oddziałach, z których jeden zajmuje się sprawami czeskiemi, drugi morawskimi. Widoki zawarcia ugody są niewielkie. Członkowie konferencji oświadczyli zgodnie, że za wynik dodatni obrad uważaliby już chociażby tylko krótkie zawieszenie broni. Zadania stronnictw są wręcz przeciwne. W imieniu Czechów, br. Engel domaga się nie tylko uznania języka czeskiego za wewnętrzny urzędowy, lecz również zmiany konstytucji, oraz uregulowania sprawy językowej na Śląsku i w innych krajach z ludnością mieszaną. Niemcy zaś zgadzają się wprawdzie na zaprowadzenie języka czeskiego w niższych urzędach krajowych, ale protestują przeciw zmianie konstytucji i nowemu uregulowaniu sprawy językowej w ziemiach nieczeskich. Rząd zagroził rozwiązaniem parlamentu i rozpisaniem nowych wyborów, gdyby konferencja miała spełznąć na niczem; stronnictwa jednak nie dowierzają tej groźbie, ponieważ nie ulega wątpliwości, że nowe wybory zapewniłyby zwycięstwo żywiołom radykalnym, mniej jeszcze skłonnym do ukończenia walki narodowej.

Bezrobocie robotników w kopalniach węgla trwa w dalszym ciągu. Położenie w niczem prawie nie zmieniło się, pomimo licznych prób pogodzenia robotników z pracodawcami. Ogółem strejkuje około 50000 ludzi. Do strejku przystąpili także górniczy szlasy. Brak węgla jest coraz dotkliwszy; coraz większa liczba fabryk zaprzestaje pracy. We wszystkich okręgach, dotkniętych bezrobociem, rozłożono oddziały wojska i żandarmerji. Spokoju jednak dotąd nigdzie nie zakłócono.

A. C.

Jan Bloch o wojnie transwaalskiej

Zachęcony pochwałami pism londyńskich, które w dziele jego „Przyszła wojna” znalazły klucz do wypadków wojny transwaalskiej, p. Bloch ogłosił w ostatnim zeszycie *Revue des Revues* obszernie studjum o zagadnieniach tej wojny i jej prawdopodobnych wynikach. Praca ta, podobnie jak wspomniane wielkie dzieło finansisty warszawskiego, ma wyraźny charakter tendencyjny. Autorowi chodzi o wykazanie, że w stosunkach obecnych wojna jest bezcelową, bo naraża strony na wielkie straty a nie zapewnia im odpowiednich

korzyści. Skutkiem tej tendencji, rozumowania, dotyczące przebiegu i wyniku wojny transwalskiej, są jednostronne. Mimo to praca zawiera wiele uwag zajmujących i niewątpliwie trafnych.

Opierając się na zdaniu pierwszorzędných teoretyków wojennych i doświadczeniach wojny transwalskiej, p. Bloch stara się dowieść i dowodzi po części rzeczywiście, iż Burowie mogliby obronić się przed kilkakrotnie silniejszą armją angielską, ponieważ ich stanowisko obronne daje im ogromną przewagę nad nieprzyjacielem, zmuszonym do akcji zaczepnej. Przewaga ta tłumaczy się doskonałością nowoczesnej broni palnej. Jest to broń tak straszliwa, że zaczepiający nieprzyjaciół nie zdąży wcale dotrzeć do szanów obleganych, jeżeli nie posiada co najmniej 6 razy tyle ludzi, co obleżeni. Tysiąc burów, ukrytych w okopach, mogłoby dopuścić 1000 Anglików na 800 metrów, bez wydania jednego strzału, i dopiero z tej odległości rozpocząć ogień, a nawet w tym wypadku ani jeden Anglik nie dotarłby do ich stanowiska. Skuteczność tej broni jest przyczyną niepomyślnych szturmów angielskich na obozy transwalskie, i nawzajem bezowocnego oblegania Ladysmithu, Kimberleyu i Mafekingu. Burowie, którzy, jak pisze autor, czytali jego dzieło „Przyszła wojna”, zastosowali się do zawartych w niem wskazówek, i dla tego zadawali się obroną, nie próbując wcale działań zaczepnych. Sztab generalny angielski nie zdał sobie sprawy z niemożności ataku na ukrytego nieprzyjaciela, i to jest przyczyną niepowodzeń wojsk angielskich. Poza tem p. Bloch, który niejako z zasady lekceważy strategię, a przypisuje znaczenie tylko taktyce i jakości broni, nie ma generałom angielskim nic do zarzucenia, lecz sądzi, że w podobnych warunkach żadna inna armja europejska nie byłaby szczęśliwszą od angielskiej.

Z twierdzeniem tem, które należy włożyć na karb uprzedzeń tendencyjnych, rozprawiać się nie warto, zwłaszcza, nie osłabia ono wcale trafności uwag innych, dotyczących czysto technicznej strony wojny. P. Bloch zauważył słusznie, że karabin nowoczesny, wyrzucający pociski w linii niemal prostej (pod bardzo ostrym kątem), na równinie jest jeszcze wiele straszliwszy, niż w górach. Gdy na terenie górzystym tylko ten strzał trafi, który jest celnie wymierzony, na polu równym, na przestrzeni 600 metrów, musi ugodzić każdy, jeżeli tylko jest oddany w kierunku nieprzyjaciela. Na spostrzeżeniu tem autor opiera swoje przekonanie, dotyczące ostatecznego wyniku wojny. Stwierdza, że straty Anglików byłyby jeszcze wiele większe, jeżeliby udało im się przekroczyć granicę i wtargnąć do republik holenderskich pozbawionych gór. Na tych równinach kilkunastu dobrze ukrytych Burów mogłoby w danych warunkach zniszczyć całą rotę, a nawet kilka rot angielskich, i wojna podjazdowa przyprawiłaby Anglików o tak ciężkie straty, że z trudem tylko i posiadając olbrzymią przewagę w ludziach, mogliby utrzymać się w kraju.

Autor i w tym wypadku nie uwzględnia moralnego stanu wojsk, zniechęcenia, jakieby wśród Burów musiało wywołać przekroczenie granicy przez wojska angielskie; w zasadzie jednak ma niewątpliwie słuszność. Trafną jest również jego uwaga, że położenie wojsk angielskich byłoby tem trudniejsze, im więcej by się oddalały od morza i torów kolejowych. Musiałaby to być armja wielka, jeżeliby miała opanować kraj cały (pod warunkiem, zapomnianym przez autora, że Burowie nie straciłoby otuchy); armji zaś takiej w kraju, pozbawionym kolei, nie można zaopatrywać w żywność. Wojska angielskie więc, chociażby zwyciężyły w walnych bitwach granicznych i wtargnęły do republik, tam mogłyby łatwo znaleźć się bez żywności, a głód zmusiłby je do spiesznego odwrotu. W najpomyślniejszym zaś wypadku, wojna przewlecze się przez rok i dłużej, a ponieważ jest bardzo kosztowna, wyczerpie środki ekonomiczne Anglii i będzie dla niej klęską nawet w razie zwycięstwa. Dla tego też autor radzi pomyśleć o ukończeniu wojny i proponuje wybranie komisji, któraby zbadała stosunki południowo-afrykańskie i przedstawiła warunki pokoju.

Poniedziałkowa mowa Chamberlaina i zachowanie parlamentu angielskiego jest odpowiedzią na rady p. Blocha. Rozumowania autora „Przyszłej wojny”, pominawszy wykazane usterki, są trafne. Mimo jego niedowierzań jednak trafniejszym jeszcze było spostrzeżenie Taine'a, który twierdził, że „narody rozumują nie głową, lecz sercem”. I Anglicy rozumują sercem. Pali ich wstyd poniesionych klęsk, żądza zwycięstwa i zdobyczy; i dla tego brną dalej, a nie słuchają rozsądnych słów przestrogi.

al.

KRONIKA NAUKOWA, LITERACKA I ARTYSTYCZNA

W *Contemporary Review* J. A. Hobson zamieszcza zajmujący artykuł pt. „Kapitalizm i Imperjalizm w Afryce południowej.” Wypadki współczesne w Transwaalu są w oczach autora tylko jednym z symptomatów obecnego rozwoju polityki. Cechuje ją wzmagająca się przewaga wielkich mocarstw nad krajami małemi, upadającymi lub nowemi. Tylko bardzo potężne państwa — zdaniem autora — mogą pozwalać na to, by obcy kapitał przyczyniał się do rozwoju jego własnych zasobów, w każdym innym razie napływ obcego kapitału jest pierwszym krokiem do utraty niepodległości. Gdzie potężny cudzoziemiec umieszcza swoje pieniądze, tam napływa i obcy kolonista, a z czasem dopomina się, aby siły zbrojne macierzystego kraju brały w obronę jego interesy w ojczyźnie przybranej, co znaczy innemi słowy, opanowały kraj, w którym on się osiedlił.

Zdaniem Hobsona, Cecil Rhodes poświęcił się polityce dla poparcia swych interesów w eksploatacji djamentów. Jemu to przypisać należy, że choć Kimberley rocznie dostarcza djamentów ze 4,000,000 funtów szterlingów (40 mil. rubl. prawie) przemysł djamentowy nie jest wcale opodatkowany.

Podobną rolę odegrali właściciele kopalni złota w Transwaalu. Obliczyli oni, że Niderlandzka koncesja kolejowa, monopol dynamitowy, prawo sprzedaży trunków i obrona prasy miejscowej zmniejszają ich dochody o 2½ mil. funtów rocznie. Ztąd poszły wymagania zmiany prawodawstwa stawiane Burom przez Anglików.

W grudniowym zeszycie miesięcznika *Forum* J. C. Hopkins objaśnia szczegółowo powstanie „Związku Afrykańskiego.”

Inicjatorem jego był Hofmeyr w 1888 r., w owym czasie przyjaciel Cecila Rhodesa i jako członek parlamentu miejscowego przyczynił się niemało do wzmocnienia wpływów angielskich w Kraju Przylądkowym. Pierwszy kongres związku oświadczył, iż celem jego jest utworzenie południowo-afrykańskiego zjednoczenia pod flagą angielską — ale dopiero w następnym kongresie w 1889 w Mideldburgu program związku został jasno nakreślony.

Do głównych punktów tego programu należało utworzenie Zjednoczonych Stanów Afryki południowej, i w tym celu propagowanie ścisłej solidarności pomiędzy narodami zamieszkującymi południową Afrykę, oraz uzyskanie niepodległości Afryki południowej.

Dążeniem związku było również wykluczenie interwencji obcych żywiołów w sprawach wyłącznie południowo-afrykańskich a ideałem jego twórców Stany Zjednoczone Ameryki północnej.

Pragnęli oni nawet z pomocą szkoły, prasy itp. rozbudzić lokalny południowo-afrykański patriotyzm.

Nie przybierając bynajmniej wrogiej postawy wobec rządów panujących w krajach południowej Afryki — związek domagał się, aby te rządy powyżej wyrażone postulaty szanowały i zgodnie z niemi interesów swych poddanych broniły. Jest rzeczą prawdopodobną, że związek, dziś już mający liczną przewagę, po wojnie stanie się jeszcze silniejszym.

— O duchowych właściwościach Chińczyków interesujące studjum zamieszcza *Die Zeit* (nr. 273). Jako główne cechy duszy chińczyka wymienia autor, R. Wallaschek, skłonność do spekulacji i upodobanie do formalistyki. Za najważniejszą reformę w wychowaniu i szkolnictwie chińskim poczytuje autor wprowadzenie nauk przyrodniczych; pod wpływem wykształcenia przyrodniczego chińczyk pozbyłby się bezwzględności w poglądach i formalistycznych igraszek myśli, przejąłby się bardziej konkretnymi celami.

— Za najlepszy środek zapobieżenia chorobom i występkom uważa prof. Hegar w *Deutsche Revue* (styczeń) wydanie takiego prawa: Osobom, dotkniętym jakkolwiek wadą organiczną, ułomnością, chorobą lub zatruciem chronicznem, zabrania się wstępować w związki małżeńskie, o ile jest podstawa obawiać się stąd złych następstw dla potomstwa.

— Pani Foerster-Nitsche dowodzi w *Zukunft* (nr. 13), że przypuszczenie, jakoby choroba Nitschego źródło miała w dziedzicznym obciążeniu, nie opiera się na żadnych danych faktycznych. Przyczyną jego umysłowej choroby było tylko nadmierne używanie chloralu, jako środka nasennego.

— W *Wien. Allg. Zeitung* Prof. S. Schiller, nadchodzące stulecie określa jako „Wiek cudów”. t. j. wiek nadzwyczajnych odkryć i wynalazków. Jeżeli wszystkie dotychczasowe odkrycia i wynalazki ułożyć chronologicznie, to okaże się, iż liczba ich zwiększa się

w szybko rosnącym postępie, skąd autor wysnuwa „prawo”, na którym opiera swą przepowiednię.

— Od N. Roku zaczęło wychodzić w Offenbach a. M. czasopismo p. t. *Zeitschrift f. wissenschaftliche Kritik und Antikritik*. Pismo przeciwdziałać ma „krzyżącym nadużyciom” w krytyce, i dla wszystkich „niesłusznie napastowanych lub wogóle w druku pokrzywdzonych autorów naukowych”, służyć za organ, „który zobowiązuje się drukować w całości bez zmian i skróceń wszystkie antykrytyki”.

— W *Bühne u. Welt* (Nr. 4) B. Held, układa teatralny bilans scen niemieckich (w Niemczech, Austrii, Szwajcarji i innych krajach) za roczny okres od 1 września 1898 do 1 września 1899. Z 43458 przedstawień na scenach niemieckich wypadła na komedję i dramat 30795, na operę, operetkę i balet—12663. Największą liczbę przedstawień osiągnęła operetka „Pod białym koniem” mianowicie 1692; drugi z rzędu sukces miał „Kontroler wagonów sypialnych”—769; potem idzie „Woźnica Henschel”—716 przedstawień. Z autorów najwięcej miał przedstawień Blumenthal; potem Hauptmann, Schiller, Sudermann, Schöntan, Moser. Z 4733 sztuk obcych, wystawionych w języku niemieckim, na sztuki francuskie przypada 3162.



Z RÓŻNYCH STRON

Mińsk gubernjalny (kor. „Głosu”). (*Tow. Rolnicze. — Wzajemne Zabezpieczenie Rolników — Bal studencki. — Gospolarka miejska*).

Dzięki ćwierćwiekowemu istnieniu w Mińsku Tow. Rolniczego, skupiają się tu najlepsze i najpoważniejsze siły i budzą myśl i życie. Instytucja ta liczy przeszło 600 członków rzeczywistych, oraz kilkunastu honorowych.

Na zebrania, zwoływane cztery razy na rok, z ogólnej liczby 600, pojawia się zwykle około 100, maximum 180 osób. Do spraw ważniejszych, poruszanych w r. z. należą kwestja Wzajemnego kredytu Ziemskiego, wzajemna asekuracja od ognia, sprawa serwitutowa, kwestje komunikacyjne, dotyczące się rozszerzenia Kanału Berezyńskiego w celach spławnych, oraz skierowania dr. żel. Kijów—Petersburg, na pow. rzeczywisty, nie tknięty dotąd siecią kolejową. Rok 1900 otwiera pole do nowej, szerszej pracy. Dotąd ziemiaństwo lepiło i układało fundamenta projektu Wzaj. Ubezpieczenia, teraz, po przychylnem rozstrzygnięciu kwestji przez ministerjum, przystąpić musi wkrótce do budowy tego potężnego gmachu i wprowadzenia całego organizmu w życie. Organizm zaś ten rozciągać się będzie na kilka gub. sąsiednich, patrzących wyteżonym wzrokiem na robotę mińskiego Towarzystwa.

Gub. Kowieńska wyciąga już silną do współudziału rękę, deklarując asekuracji na miljon przeszło rb. Nowa ta instytucja, wyzwalając tysiące rolników ze spekulacyjnych operacji licznych Tow. ubezpieczeń ogniowych, będzie prawdziwym dobrodziejstwem dla kraju i uwieńczeniem pracy mińskiego Tow. Roln., w łonie którego zrodził się i uskutečnił jej projekt. Niemniej, tak zwana sprawa bankowa, posuwająca się naprzód, przedstawia na rok bieżący moralne i pracowite zadanie.

Rok ubiegły należy dla syndykatu mińskiego do nader pomysłnych. Dzięki ożywiający się wciąż obrotom, otrzymane zyski pozwolą mu pokryć 12,000 deficytu z lat zeszłych i dać pierwszą dywidendę swym członkom. Walne Zebranie Tow. Roln. odbędzie się dopiero w marcu.

Doroczny bal studentów, jedyna karnawałowa zabawa w Mińsku, przyniósł 2,100 rs. dochodu. Celem jego jest pomoc niezamożnym studentom, rodem pochodzących z gub. Mińskiej. Wyjazd burmistrza miejskiego hr. Czapskiego za granicę, w celu ratowania zdrowia, zaniepokoili miasto, ze względu na przypuszczalność usunięcia się jego od spraw publicznych. Chociaż już wymieniają kilku przyszłych kandydatów, trudno jednak będzie znaleźć tak energicznego zastępcę. Rządy hr. Cz. posunęły Mińsk znacznie naprzód, acz i pogłębiły go nieco w długach. Świetne, a śmiałe projekta hr. Cz. psuły się nieraz w wykonaniu, w szczególności którego nie wchodził, i kosztowały zbyt drogo. W kasie miejskiej wciąż zaledwie końce z końcami się wiążą.

W r. b. uchwaloną już została nowa półmiljonowa pożyczka, w celu powiększenia sieci wodociągów, oświetlenie miasta nader niedostateczne, zwraca na siebie uwagę. Elektryczność na pryncypalnych ulicach nie daje więcej światła, od nafty i porównać się nawet nie może z świeżo urządzonym elektrycznym oświetleniem

Kowna. A jednak sporo ona Mińsk kosztowała! Obecnie tworzy się projekt urządzenia w mieście naszym tramwajów elektrycznych z wielu względów byłoby to wygodnem, lecz zachodzi obawa, aby elektryczność mińska tu również nie funkcjonowała tak słabo, jak przy oświetleniu miasta.

Lublin (kor. „Głosu”). *Posiedzenie Tow. Rolniczego. — Wystawa archeologiczna. — Zabawa dziecięca.*

Dnia 20 stycznia odbyło się pierwsze w tym roku posiedzenie Stowarzyszenia Rolniczego Lubelskiego, na które zjechało się przeszło stu członków.

W maju roku bieżącego ma się odbyć staraniem towarzystwa dobroczynności wystawa zabytków archeologicznych i przedmiotów sztuki współczesnej. Powinna mieć powodzenie, gdyż Lublin zupełnie jest pozbawionym tego rodzaju artystycznych widowisk, a że ich pożąda, dowodem może służyć nader skwapliwe odwiedzanie wystawionego obecnie u nas, zresztą dość lichego, obrazu Ryszkiewiczza „Oblężenie Częstochowy”.

Towarzystwo dobroczynności, którego dochody, czerpane przeważnie z zabaw, ucierpiały z powodu wieczorów urządzanych przez liczne obecnie w naszym mieście stowarzyszenia, otrzymało spory zasiłek 5,000 rubli, zapisanych przez ś. p. Illustrowskiego, który zapisał także 1,000 rubli na osady rolne.

Zabawa dziecięca, urządzona przez komitet kolonji letnich, dała dochodu brutto 428 rubli 20 kop., po odtrąceniu wydatków zostało 307 rub. 69 kop.

Łomża (kor. „Głosu”). Nie spotykając w ostatnich czasach moich korespondencji w „Głosie”, zaczęto mnie uznawać za nawracającą się „błądną owcę” i o mały włos nie zaliczono mnie do „porządnych i normalnych ludzi”. O mały włos—mówię, gdyż ni ztąd, ni z owąd, przyszło do głowy pewnemu panu przypuszczenie, że, jeżeli Podbięta pisuje niemiłe dla wielu rzeczy w „Głosie”, to prawdopodobnie był autorem „Paszkwilu”, niesłusznego sponiewierania jednego z tutejszych inteligentów, a więc—w poczet „porządnych i normalnych” ludzi nie może być zaliczony.

Wobec tego przypuszczenia, uważam za konieczne zwrócić uwagę, czyją należy: 1) że zdania swego o ludziach nie zwykłem opierać na przypuszczeniach, 2) że mam zwyczaj, nim napisać gorzką prawdę, sprawdzać fakta, 3) że w wygłaszaniu takiego, lub owego zdania nie kieruję mną względy osobiste, gdyż nie należę do żadnej koterji, nie mam osobistych sympatii, lub antypatii, patrzę na objawy życia z punktu widzenia krytyczno-obszernego, 4) że za temat do moich korespondencji służą nie osobistości, lecz ich czyny, 5) nie mam zwyczaju wymieniać nazwisk i nakoniec, 6) że życie prywatne, wybryki jednostki, choćby najbardziej ujemne, ale nie na polu społecznym, nie wchodzą w zakres moich do pism korespondencji, gdyż w podobnych razach, dla trudności sprawdzania, bardzo łatwo popaść w błędy i wyrządzić komuś krzywdę.

Z tego wynika, że najnieśluszniej nie zaliczono mnie do „normalnych i porządných ludzi”. Z drugiej zaś strony, jeśli mam prawdę powiedzieć, cieszy mnie to, że nie przyznano mi tego miana, gdyż nie wiem, co gorsze, czy być autorem owego „Paszkwilu”, czy też porządnym, „normalnym” człowiekiem, w rozumieniu łomżyńskim.

Podbięta z nad Nurwi.

Z zagranicy

Kraków (kor. „Głosu”), *Odgłosy mniemanej dżumy. — Zjazd lekarzy i przyrodników w Krakowie — Zjazd delegatów stronnictwa ludowego w Tarnowie. — Sprzedaż Schodnicy. — „Renesans w Polsce” S. Odrzywolskiego.*

Kronikarz Nowej Reformy przepowiedział z góry, że w Krakowie nawet porządna dżuma się nie uda. Rzeczywiście nie udało się nie tylko sama dżuma, która się ukazała pojedynczym wypadkiem ropnego zapalenia płuc na tle influenzy, ale i kryjąca się za nią kampanja przeciwko prof. Bujwidowi; a przyczyniła się ona więcej do wywołania alarmu wśród ludności, niż sam wypadek śmierci w instytucie bakteriologicznym. Reakcja przeciwko stronnictwu, nacechowanemu złą miarą napaściom zjawiała się szybko. Zjadliwe głosy dzienników umilkły, młodzież uniwersytecka zgatowała prof. Bujwidowi gorącą owację, przyczem wręczono mu adres, zaopatrzony podpisami kilkuset studentów, nakoniec Towarzystwo lekarskie wyraziło mu uznanie, a na odparcie wszelkich napaści uchwaliło wydać odezwę, zbijającą krążące zarzuty ze stanowiska fachowego.

Minęły obawy jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, ale nie minęła troska o przyszłość, mianowicie na wypadek, gdyby zaraza rzeczywiście nawiedziła kiedy nasze miasto. Okazało się, że Kraków nie posiada żadnego szpitala izolacyjnego, pomimo, że prof. Bujwid domagał się w swoim czasie gorąco, aby Rada miejska przeznaczyła na ten cel fundusz, ofiarowany przez miasto na in-

stytucje filantropijne, z okazji jubileuszu cesarza Franciszka Józefa. Udzielono wprawdzie z tego funduszu 50,000 złr. Bonifratrom na odpowiednie urządzenia w pozostającym pod ich pieczę szpitalu, gdy jednak zaszła potrzeba odosobnienia rodziny ś. p. dr Kostaneckiego, okazało się, że Bonifratrzy mają tylko jedną salę na ten cel przeznaczoną, ale zajętą przez chorych na ospę. Lepsze uposażenie i odpowiednie urządzenie instytutu higienicznego, a równocześnie założenie szpitala izolacyjnego, staje się kwestją palącą. Tu już zaczyna się bezpośrednia odpowiedzialność władz administracyjnych, nietylko nie troszczą się one o należyte zorganizowanie szpitalnictwa chorób zakaźnych, ale wyznaczone już, zbyt szczupłe fundusz na utrzymanie instytutów medycznych, wydzielają jakby z łaski i zalegają z ich asygnowaniem, tak, że wszelka racjonalna gospodarka staje się niemożliwą. Najlepszy dowód, że dotąd, gdy półrocze zimowe chyli się już ku końcowi, nie otworzono jeszcze kliniki chirurgicznej. Rząd przyrzekł dwadzieścia kilka tysięcy, na przerobienie gmachu, a gdy rozpoczęto już roboty — cofnął się i obiecał wypłacić wszystkiego 4 tysiące! *Oesterreichische Wirtschaft* zdobywa sobie na każdym kroku palmę pierwszeństwa.

Komitet gospodarczy IX zjazdu lekarzy i przyrodników polskich ogłosił program szczegółowy zjazdu, który trwać będzie od 20 do 25 lipca r. b. Oprócz posiedzeń ogólnych, prace naukowe ogólne odbywać się będą w następujących 23 sekcjach równocześnie: 1) matematyczno-fizyczna, 2) chemiczna, 3) mineralogii, geologii i geografii fizycznej, 4) zoologii i anatomii porównawczej, 5) botanicznej, 6) przyrodniczo-rolniczej, 7) technicznej, 8) fotografii zastosowanej do celów naukowych, 9) farmaceutycznej, 10) psychologicznej, 11) anatomiczno-fizjologicznej, 12) patologicznej, 13) medycyny wewnętrznej wraz z pedjatrją, 14) chirurgicznej, 15) dentystrycznej, 16) dermatologicznej, 17) neurologii i psychiatrii, 18) okulistycznej, 19) ginekologicznej, 20) medycyny sądowej i toksykologii, 21) medycyny publicznej, 22) weterynarskiej, 23) prasy lekarskiej.

Oprócz przygotowujących się referatów sekcyjnych, zgłoszono już kilkadziesiąt samodzielnych wykładów. Ostateczny termin nadsyłania zgłoszeń odczytowych (z dołączeniem krótkiego streszczenia) oznaczył komitet na dzień 1 czerwca r. b.

W Tarnowie odbył się zjazd delegatów stronnictwa ludowego. Oprócz posłów ludowców do Sejmu i Rady Państwa, przybyli: prezes Towarzystwa nauczycieli ludowych Gutowski, delegaci młodzieży akademickiej ze Lwowa i Krakowa, posłowie ludowi, Żardecki i Warrecha, do stronnictwa nie należący, na koniec 62 delegatów z 23 powiatów. Przewodniczyli: poseł Bojko, pp. Obniński i Szubra. Sprawozdanie z działalności stronnictwa referował poseł Stapiński, jako sekretarz rady naczelnej; mówiąc o stosunku do innych stronnictw, zaznaczył większą życzliwość lewicy sejmowej wobec ludowców, dobry względnie stosunek do związku chłopskiego i „życzliwą neutralność” wzajemną z partją socjalnych demokratów. Delegaci zdawali następnie sprawę ze stanu ruchu ludowego w różnych powiatach, a na zakończenie, poruszono wiele bieżących zagadnień o głębszej doniosłości. W sprawie niepodzielności gruntów włościańskich, którą stronnictwo konserwatywne zamierza podnieść na przyszłym Sejmie, zjazd oświadczył się przeciw t. zw. majoratom chłopskim i wogóle przeciw ograniczeniu wolności dzielenia gruntów włościańskich. Adwokat dr. Szaflarski z Krakowa postawił nadto wniosek programowy, zmierzający do powiększenia własności drobnej, przez ograniczenie wielkiej, a to na zasadach następujących: a) fideikomisy zostają zniesione, b) skarb państwa posiadać może tylko nieruchomości oddane pod kulturę lasową i to o tyle, o ile to względami na dobro społeczne jest wskazane, c) posiadłości fundacji zostaną indemnizowane, d) właściciele prywatni nie mogą posiadać obszaru ziemi większego, niż obszaru w drodze ustawodawczej co lat 15 oznaczyć się mający, nigdy jednak większy od obszaru niosącego dochód kadastralny 5,000 koron. Nadwyżka z tych nieruchomości ma być zindemnizowana przez nabywców przy pomocy zaliczki krajowej, a obróconą na utworzenie średnich gospodarstw włościańskich. Wnioski Szaflarskiego oddano Radzie naczelnej stronnictwa do rozpatrzenia. Omawiano nadto sprawę emigracji ludu za zarobkiem, gmin zbiorowych i reformy notariatu.

Część Schodnicy, Kosmach i wszystkie kopalnie, należące do firmy Wolski i Odrzywolski, a oddane przez nich dobrowolnie lwowskiej Kasie Oszczędności, tytułem gwarancji długów Szczepanowskiego, zostały sprzedane w imieniu tejże Kasy finansistom francuskim, za kwotę dochodzącą do 5 milionów złr. Wartość tych przedsiębiorstw oceniali znawcy na 10 milionów, a wszelkie nawoływania, aby nie oddawać tego ostatniego posterunku w ręce cudzoziemców i nie rujnować szlachetnych poręczycieli zbyt nagłą sprzedażą, pozostały bez skutku.

KRONIKA POWSZECHNA

Rozporządzenia rządowe.

— Ministerjum spraw wewnętrznych postanowiło, ażeby na wyższe urzędy gubernialne powoływać kandydatów tylko z wyższem wykształceniem szkolnem.

— „Jurid. gaz.” pisze: „Projekt wykupu przez właścicieli ziemskich w Królestwie Polskiem służebności włościańskich będzie wniesiony do rady państwa, podczas kadencji wiosennej. Projekty wprowadzenia naczelników ziemskich w gubernjach zachodnich i północno-zachodnich, rozgraniczenia gruntów włościańskich od dworskich, wynajmu robotników rolnych, wprowadzenia ziemstw do gubernji południowo-zachodnich i wschodnich — zostały przez ministerjum spraw wewnętrznych wycofane oelem zasięgnięcia opinji nowego ministra.”

Szkoły i oświata.

— „Birż. wied.” donoszą, że ministerjum oświaty przekazało do oceny zwierzchności dyrekcji naukowych projekt nowej ustawy szkół prywatnych, zaś do oceny zwierzchności wyższych zakładów naukowych projekt instrukcji dla inspekcji studentów w uniwersytetach.

— W Seroku rozpoczął naukę koszykarstwa instruktor i nauczyciel, p. Sontek, wysłany przez oddział warszawski pop. ros. przem. i handlu.

— Zarząd skarbowych kolei nadwiślańskich zaprojektował otwarcie w Warszawie kolejowej szkoły telegraficznej. przyjmowani będą do niej kandydaci, kończący cztery klasy gimnazjalne lub 3-klasową szkołę miejską.

— W Petersburgu powstaje instytut politechniczny, który obejmie także wydział metalurgiczny i budowy okrętów. Dyrektorem został już mianowany ks. Gagarin.

— Z decyzji ministerjum oświaty, zakomunikowanej warszawskiemu okręgowi naukowemu, we wszystkich szkołach miejskich (z wyjątkiem jedno i dwuklasowych) dozwolono składać egzaminy ze znajomości kursu wykładowego szkół miejskich osobom postronnym na równi z uczniami i wydawać im świadectwa szkolne. Osoby postronne obowiązane są wnosić opłatę szkolną w wysokości 3 rb.

— Według rozporządzenia ministerjum oświaty, osoby, pragnące otrzymać tytuł nauczycielki rysunku, powinny zdawać specjalny egzamin według przepisów, ułożonych przez ministerjum w porozumieniu z akademją sztuk pięknych; po otrzymaniu świadectwa nauczycielki mogą prowadzić wykłady w gimnazjach i progimnazjach żeńskich.

— Ministerjum oświaty zabroniło na przyszłość wydawać zezwolenia na prawo zaocznej nauki buchalterji przez korespondencję.

— Magistrat warszawski ofiarował pod budowę gmachu teatru ludowego plac na terytorjum szpitala Dzieciątka Jezus. Budowa rozpocznie się w jesieni. Na ten sam cel ministerjum skarbu przeznaczyło 100000 rb.

Komunikacje.

— Pisma petersburskie donoszą, że pomiędzy Petersburgiem a Warszawą ma być urządzona komunikacja telefoniczna. Na wiosnę mają się podobno rozpocząć roboty.

Zjazdy.

— Na zjazd w sprawie robotników wiejskich mają być powołani przedstawiciele ziemstw. Głównym przedmiotem zjazdu ma być utworzenie magazynów żywności i organizacja pomocy lekarskiej w tych miejscowościach, przez które przechodzą robotnicy, poszukujący pracy. Nadto ma być omawiana sprawa założenia biura, udzielającego wiadomości o poszukiwaniu i ofiarowywaniu pracy.

Stypendia.

— Nr 9 „Zb. praw” zamieszcza rozporządzenie, zatwierdzające zapis Marji Jankowskiej w sumie 15000 rb. na rzecz 5-ii stypendjów dla wychowalców instytutu politechnicznego w Warszawie. Z odsetek od kapitału 15000 rb., zapisanego w testamentcie przez Marję Jankowską, tworzy się 5 stypendjów w instytucie politechnicznym Cesarza Mikołaja II w Warszawie. Stypendystów wybiera prezes komitetu Tow. kredytowego ziemskiego w Warszawie, po uprzednim porozumieniu się z zarządem instytutu, z pośród niezamożnych studentów pochodzenia polskiego, wyznania rzymsko-katolickiego, wyróżniających się pilnością i dobrem sprawowaniem.

Teatr i muzyka.

— W Rozmaitościach wystawiono sztukę hr. Ronikiera p. t. „Karjery”.

— Opera warszawska przygotowuje: „Mazepę” Munohejmera, „Widma” Moniuszki, oraz „Bojomira i Wandę” Kurpińskiego.

— Reżyserja komedji zajęta jest przygotowaniem do sztuki Roberta Bracco p. t. „Życie miłości”.

W kwietniu r. b. wyjdzie w przekładzie polskim J. Moszczeńskiej, dzieło p. t.

„DUSZA DZIECKA”

przez Jamesa Sully, profes. Filoz. w Univers. College w Londynie.

Dzieło to, które w krótkim czasie przełożone zostało na język niemiecki, francuski i rosyjski, daje niezmiernie zajmująco skreślony, a przytem naukowy, na oryginalnych badaniach oparty obraz najważniejszych objawów duszy dziecięcej. Treść Rozdziałów stanowią: I. Wstęp. II. Okres wyobraźni. Wyobraźnia i zabawa. Wyobraźnia i baśnie fantastyczne. III. Okres budzącego się rozumu. Proces myślenia dziecięcego. Okres pytań. IV. Pojęcia dzieci o przyrodzie, o człowieku, o Bogu. V. Mały lingwista. Proces przyswajania mowy. VI. Uczucia strachu. Obawa zwierząt. Obawa ciemności. Środki przeciwdziałania. VII. Uczucia moralne. Pierwotny egoizm. Początki miłości bliźniego. Kłamstwa dzieci. VIII. Dziecko wobec prawa. Walka przeciw rozkazom. Umiejętność rozkazywania. IX. Dziecko jako artysta: wobec piękna natury; wobec utworów sztuki. X. Mały rysownik. Pierwsze próby rysowania postaci ludzkiej, form zwierzęcych. Fakty i ich tłumaczenie.

Dzieło J. Sullygo, objętości 22 arkuszy z 50 rysunkami w tekście, po wyjęciu kosztować będzie rb. 2, z przes. poczt. rb. 2 kop. 30.

Nadsyłający przedpłatę z góry bezpośrednio do Administracji Głosu, płacą tylko rb. 1, z przes. poczt. rb. 1 kop. 30.

PODZIĘKOWANIE

p. Hilaremu Kosińskiemu, właścicielowi

Fabryki wyrobów miedzianych i żelaznych

w Warszawie, przy ul. Dobrej, róg Bednarskiej pod № 54

za wykonanie aparatu gorzelniczego kolumnowego najnowszego systemu, jakowy, wykonany przez p. Hilarego Kosińskiego funkcjonuje już lat trzy jak najlepiej, wydając spirytus czysty i mocny 94^o/₁₀₀ Tralesa, z którego jestem zupełnie zadowolony, wskutek czego mogę rekomendować go jako zdolnego i sumiennego fachowca, kontentującego się małym zyskiem.

Warszawa, d. 16 sierpnia 1899 r.

Właściciel dóbr Kupientyn

gubernji Siedleckiej, powiatu Sokołowskiego i właściciel Hotelu Wiedeńskiego w Warszawie.

Adolf Zambrzycki.

„STRUMIEN”

Tygodnik poświęcony literaturze, sztuce i sprawom życiowym

Dążeniem „Strumienia” jest:

— Zogniskować twórczość poetycką, aby jej przywrócić dawne, pierwszorzędne stanowisko w literaturze. Powołać do życia krytykę literacką i artystyczną w wielkim stylu i niezależną. Wypowiadać się śmiało i w formie artystycznej w ogólnych sprawach życia współczesnego. Dawać pełny obraz wszechświatowego ruchu literackiego i artystycznego. —

Prenumerata w Warszawie: rocznie 7 rb., półr. 3.50, kwart. 1.75, miesięcznie 60 kop.; z przes. poczt.: rocznie 8 rb., półr. 4, kwart. 2.

Numera okazowe na żądanie wysyłają się bezpłatnie.

Adres Redakcji — Warszawa, Bracka 9.

Redaktor i Wydawca — **Wacław Gąsiorowski.**

WISŁA

MIESIĘCZNIK

GEOGRAFICZNO - ETNOGRAFICZNY

z ilustracjami.

Warunki przedpłaty.

w Warszawie:

Rocznie 1b. 6
Półrocznie „ 3

z przesyłką pocztową:

Rocznie rb. 7.
Półrocznie „ 3 kop. 50.

Premium bezpłatne na rok 1900.

Prenumeratorowie, którzy opłacą całkowitą prenumeratę za r. 1900, otrzymają razem z zeszytem 1-ym „Wisły,” inni zaś po opłaceniu drugiego półroczu,

trzy tomy

cennych prac ludoznawczych,

wchodzących w skład „Biblioteki Wisły,” a mianowicie:

Marjan Udziela „Medycyna i przesady lecznicze ludu polskiego (str. 283).

K. Skrzyszka „Kobieta w pleśni ludowej” (str. 100).

St. Polaczek „Wieś Rudawa” (str. 256).

Spodziewamy się, że dając dodatek

wartości dwóch rubli,

zwiększymy szereg liczbę prenumeratorów. Premium nasze zawdzięczamy troskliwoci o losy czasopisma i bezinteresowności długoletniego kierownika „Wisły,” d-ra J. Karłowicza, który wspomniane dzieła wydał własnym nakładem.

Prenumerować można we wszystkich księgarniach.

Adres do listów i przesyłek: Dla Redakcji „Wisły.”

Warszawa. Złota, 61.

„ŻYCIE”

Kraków ul. Pańska 1, II.

Skład Redakcji: Stanisław Przybyszewski, Zenon Przesmycki (Miriam).

Poezje, nowela, powieści, przekłady, studia krytyczne, sprawozdania, reprodukcje obrazów i winiet.

Wychodzi 1-go każdego miesiąca w dwóch edycjach.

Warunki przedpłaty (z przesyłką za wydanie zwykłe): W Państwie Rosyjskiem rocznie 10 rb. półrocznie 5 rb. kwartalnie 3 rb.

Wydanie wytworne (egzemplarze są zaopatrzone w liczby) po cenie podwójnej.

Cena pojedynczego numeru wydania zwykłego 1 rb. wytwornego 2 rb.

Przedpłatę przyjmują: Administracja „Życia,” oraz księgarnie i biura dzienników w Cesarstwie Rosyjskiem.

W Petersburgu księgarnia

K. Grendyszyńskiego.

Numery okazowe rozsyła się na żądanie za zaliczką.

! Nowość !

**NIEMOJEWSKI A.
PROMETEUSZ**

Wydanie luksusowe 60 k., w ozdob. opr. rb. 1, z przesyłką na prowincję 10 kop. drożej.

Wydawnictwo

**KSIĘGARNIA I SKŁADU NUT
M. BORKOWSKIEGO
97, Marszałkowska 97.**

Rozwój Pojęciowy Dziecka

w okresie lat 6—12

Badania nad dziećmi

zebrała i opracowała

Aniela Szyg

Cena kop. 75.

Z zapomogi kasy im. Mianowskiego.

Tapicer poszukuje roboty po domach w zakresie swej specjalności bardzo tanio. Zórawia 49 m. 9 lub w redakcji.

Opuścił prasę

„Poradnik dla Samouków”

CZĘŚĆ II: nauki filologiczne i historyczne. Str. 695 + XIV + 16.

Cena 80 kop. bez przesyłki.

Redaktor i Wydawca **Tadeusz Strzembosz.**

W drukarni F. Csernaka Krakowskie Przedmieście Nr. 60.

Дозволено Цензурою, Варшава, 28 января 1900 г.